



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznański u Ks. i Spół., kwartal. 5 marek

SERCE CZŁOWIEKA.

przez

Henryka Morley'a.

(Przekład z Angielskiego).

Serc naszych struny to harfa Eola,
Życia przelotne grają na niej tchnienia,
A czy to dola jest, albo niedola,
Koloryt tylko motywów się zmienia.

Serce się wiecznie rwie i targa w sobie,
Nadzieję ściga z namiętnym zapalem;
Za nieujętnym nigdy ideałem
Wyciąga człowiek spracowane dłonie.

A gdy się wreszcie nad los wzniesie zmienny,
I w sercu pragnień uciszy chorobę
Z piersi się mędrca grób staje kamienny,
A dusza, co tam mieszka, zwie się Niobe.

M. I.

FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

(Dokończenie).

Do Paryża wrócił Szopen w Styczniu 1849 r. słaby już tak, tak bezsilny, że o własnej mocy prawie chodzić nie mógł. Dręczyło go wszystko; tęsknił do Paryża, do Francji—do tego, co już nigdy wrócić do niego nie miało, co on-by nawet, gdyby wróciło, odepchnął. Ale tak jest z człowiekiem: tęskni on nieraz i rozpacza, nie po ludziach już, którzy mu niegdyś drogimi byli, ale po tych uczuciach, któremi serce jego dla nich biło: po miłości, po wierze, z piersi mu przez ich zdradę wydartej. Przed wyjazdem z Anglii, z Londynu całymi dniami leżał, a zdawało się biedakowi, że powrót do Francji, pod jej łagodne niebo, zdrowie, a przynajmniej sił trochę mu przywróci. Na kilka dni przed porzuceniem Londynu pisał do Paryża, do przyjaciół tam zostawionych, aby mu jego pomieszkanko przygotowane, aby obicia dano, firanki zawieszono, fortepian od Pleyela sprowadzono i dodaje w liście do Grzymały, aby tam zastał i wiązanek fiołków, bo chce odechnąć ich wonią. — Pragnąłbym trochę poezyi w moich kątach, w moim sypialnym pokoju znaleźć, bo według wszelkiego podobieństwa będę ja tam musiał nie krótko poleżeć.

Spieszy się z wyjazdem mimo ciężkiej niemocy swojej. „Dzień tu jeszcze jeden dłużej a zwaryowałbym, lub umarł” — pisze i dodaje, że jego

szkockie wielbiciele są serdecznie dobre, ale jakże nudnel.. Wszystko nudzi go, dręczy i widocznie tylko już ziomek znośić może, bo skarżąc się na tych, co go w Londynie dobrocią swoją otaczają, dodaje, że tylko księżna Marcelina Czartoryska i Szulczewski utrzymują go przy życiu. Nic przecież już go na ziemi zatrzymać nie mogło, bo nie miał już dla czego żyć, z sercem przepalonem przez nieszczęsną miłość, rozdartem przez zdradę. Że tak było: że nieszczęsne jego przywiązanie się do Sand wsączyło tam truciznę i podcięło korzenie życia, jest rzeczą niezaprzeczoną. Z duszą kochającą i poetyczną — z wierną tklivością w sercu dał się opłonić złej czarownicy, która rozumiała życie przez użycie i nie oglądając się na nic, tylko mussującą pianę z kielicha istnienia ludzkiego spijać chciała. Tłómaczy się też z tego zła ta wieszczka w swoich wyznaniach: *Histoire de ma vie*; składa wszystko na słabowitość Szopena, na doznane zmartwienia: śmierć ojca i przyjaciela Matuszyńskiego. Nawet katolicyzm wyprowadza tu jako źródło przyczyny, która przyspieszyła koniec smutnego dramatu jego życia i pisze: „Dogmat katolicki otacza śmierć przerażającymi strasznościami. Szopen, zamiast marzyć o lepszym świecie dla dusz czystych, miewał tylko przerażające widzenia, i musiałam niejedną noc w pokoju obok jego sypialni przebyć i sto razy od roboty mojej się odrywać, aby odpędzać od niego tak we śnie, jak w bezsenności trapiące go widma. Myśl o własnej jego śmierci, otoczona była przesadnymi obrazami słowiańskiej poetyczności. Jako Polak żył on pod uciskiem całej góry podał. Duchy wołały go, pukały na niego” i dodaje, że zamiast widywać ich w jasnych blaskach wiary, szamotał się niejako z niemi, wyrывая się z rąk straszliwych widziadeł.

Była to gorączka razem choroby i może smutnych wyrzutów sumienia, że tak sobie życie

zwichnął, przez miłość, przez przywiązanie się do złej istoty, która, chwili używania tylko pragnąc, nie mogła ani mu wierną długo być, ani za miłego sobie towarzysza życia go uważać, gdy dotknięty ciosem ciężkiej boleści i w dodatku wyczerpany, bezsilny, może dręczony wyrzutami sumienia za zmarnowanie swego życia, przedstawiał już tylko przedmiot litości. Gdyby w sercu tej kobiety była choć jedna iskierka szlachetności i litości, już byłaby się starała być mu w tej chwili smutnej pocieszycielką tkliwą, siostrą miłosierną dla jego duszy, ale nie od takich jak ona kobiet spodziewać się tego można. Kto używać tylko pragnie i dla tego łamie wszystko, co ludzie uważają za świętość i obowiązek, ten nigdy nie kocha dłużej nad daną chwilę przyjemności i ciska, tłucze czarę, z której już wypił wszystko, co było wesoło podniecającym trunkiem...

Po powrocie z Anglii poznał wkrótce biedak ten nieszczęśliwy, że stawka jego życia była przegrana i w Sierpniu 1849 r. pisał do Tytusa Wojciechowskiego, że w lekarstwa żadne już nie wierzy. I lekcy już dawać nie mógł; bardzo nie wielka liczba osób przybywała już tylko do niego na te lekcy i ztąd stan jego finansów bardzo niekorzystnie się zmienił. Kiedy przyjaciele jego dla świeższego powietrza wynajęli mu jakoby letnie pomieszkanko przy ulicy Chaillot, spokojnej i na wzgórzystym miejscu tak zbudowanej, że Paryż jak gdyby u nóg jej leżał, już musiano przed nim kłamać, połowę tylko ceny za pomieszkanko to mu podając: 200 fran., gdy kosztowało rzeczywiście 400. Przyjaciele jego troszczyli się też boleśnie, co będzie, gdy nakoniec biedak pozna położenie swoje i szlachetnie wierna w czystym swem uczuciu dla niego Janina Sterling, dowiedziawszy się o tem, przysłała mu tajemniczo 25.000 franków w kopercie zaadresowanej obcą ręką, aby się prawdy nie domyślił, bo czyżby był przyjął — czy bez poniżenia godności swojej mógł przyjąć?

Ale te ostrożności sprowadziły ten skutek, że koperta z pieniędzmi oddana stróżce domu, ręką jego nie doszła, aż po długim, długim czasie. Nie odniósłszy listu zaraz, stróżka owa za zegar go w pomieszkaniu swoim schowała, czy z wiedzą, że są tam pieniądze, lub nie? rzecz trudna do zbadania, ale trudniejsza jeszcze łączy się z tem zagadka: a to sposób, w jaki rzecz się wykryła. Gdy o braku środków pieniężnych Szopena przyjaciele jego smutnie radzili, miss Sterling zawiadomiła ich poufnie o przesłance dokonanej i poczęto śledzić: co się z pieniędzmi stało? Udało się do sławnego wtedy *medium*, jasnowidza Alexandra, który w jasnowidzeniu izdebkę stróżki opisał i miejsce schowanych pieniędzy tak oznaczył, że gdy jeden z przyjaciół Szopena tam się udał i zażądał pieniędzy, znajdujących się poza zegarem, kobieta zły, czy dobrej woli, natychmiast je oddała. Ale Szopen musiał się teraz dowiedzieć prawdy, bo ją koniecznie poznać chciał, od kogo pieniądze pochodzą? i można sobie wystawić, co uczuł, widząc się przedmiotem miłosierdzia ludzkiego, on zawsze w stosunkach pieniężnych tak dumnie, tak uczciwie wyniosły?

— Niestety! źle gospodarował życiem i talentem swoim, zabrakło mu też sił wcześniej, niż się spodziewał, ale nie zabrakło mu na szczęście dumy szlachetnej, szlachetnego pojęcia honoru. Pieniądzy przyjąć nie chciał, przecież okrutne szpony konieczności tak go ujęły w kleszcze swoje, że musiał wejść w pewien kompromis z uczuciem godności osobistej. Dziesięć, a inni podają, że dwanaście tysięcy franków tytułem pożyczki sobie zostawił, resztę z listem dziękującym wiernej przyjaciółce za troskliwość o niego, odesłał. Że przytem wszystkim cierpieć musiał, że musiał czuć się upokorzonym, domyślić się nietrudno, a tak był już wycieńczony, śmierć zdawała się już wszystkim tak bliska, że niewątpliwie i owa stróżka, spodziewając się jej rychło, pieniądze przechowała, sądząc, że się nie długo własnością jej staną.

A życie było już też męczarnią jedynie. Tak zesłał, cierpienia jego tak się wzmogły, że nie-

tylko już grać, ani komponować nie mógł, ale każda najubożniejsza rozmowa już go rozdrażniała i sprowadzała gorączkę. Mówić też w końcu już wcale nie mógł i na migi tylko porozumiewał się z otoczeniem swoim. To go męczyło, zmuszało ludzi unikać, ostatnie też miesiące życia samotnie mu płynęły w smutnem rozpamiętywaniu przeszłości, której wspomnienia gryzły mu serce. Czy nie przychodziła go dręczyć myśl okrutna, że źle rozrządził życiem swoim — że je smutnie zmarnował?

Kiedy po upływie sześciu tygodni wrócił na stałe pomieszkanko do środka miasta: *Place Vendôme*, już zapowiedź śmierci tak była wyraźną, że siostra jego Ludwika, zamężna Jędrzejewiczowa, przybyła z Warszawy, aby ostatnie dni biednego osłodzić i on, to czując, bardzo wdzięczny, bardzo tkliwie ją przyjął. W Październiku już tak osłabł, że nawet siedzieć na łóżku o własnej sile nie mógł. Ostatnią już jego przyjemnością na ziemi, promieniem poezji, który ozłocił moment rozstania się jego z życiem, było przybycie do jego łóża śmierci Delfiny Potockiej. Kobieta była w gruncie rzeczy przewrotna, ale niezmiernie piękna i posiadała głos czarowny. Komarówna z domu, ciężko grzeszna w stosunku swoim do Krasińskiego, w którego życiu jest ona cieniem czarnym, posiadała przecież głos precyzyjny, którym posługiwała się jak syrena — jak syrena ciągnąc oczarowanych w przepaście. I Szopen znajdował się w liczbie tych, co się dali w sieć jej ująć, teraz przecież w ciężko bolesnej chwili dogorywania przybycie jej było dla niego dobroczynnem złagodzeniem cierpień doznawanych. Uczeń jego Gavard opisał ten moment — moment to ostatniego dysponowania się jego na śmierć. Gdy ksiądz, który go na drogę wiecznego żywota przygotować pragnął, przy łóżku jego klęknął, aby się zań modlić, ona ukazała się na progu komnaty śmiertelnej, a on ostatkiem głosu prośbę wyszeptał, aby raz jeszcze śpiew jej usłyszał. I wniesiono co prędzej fortepian, a gdy nad nim unosił się już anioł śmierci, ona śpiewała mu — *Izy lejąc*.

Jakkolwiek niemająca uczucia, mogła niemniej czuć wtedy rozdzierające się w niej serce, mogła boleć boleścią nieklamana i płakać nie fałszywymi łzami. Gavard wyznaje, że nie słyszał nic, nic nie wie, jaka to pieśń była, bo odzyskał przytomność umysłu wtedy dopiero, gdy dźwięki jej urwały się nagle, a stało się to wtedy, gdy dało się słyszeć rzeźenie konania, jak sądzono.

Wyniesiono fortepian jaknajśpieszniej, pokłękano koło łóżka i zaczęto odmawiać wspólnie z księdzem modlitwy przy konającym.

Śmierć nie przyszła jednak tak zaraz położyć kres cierpieniom. Dusza uszła z ciała dopiero we dwa dni potem. Nietylko przecież Gavard nie słyszał, co śpiewała kobieta płacząca: Liszt a za nim Karasowski utrzymuje, że był to Hymn do Najświętszej Panny ze Stradelli i jeden z psalmów Marcellego. Gutman zaręcza, że obok tego psalmu hrabina śpiewała arya Pergolosego. Franchomme dowodzi, iż to była jedynie arija Belliniego z *Beatrice di Tenda*. Że Liszt przytomnym tu nie był, a nie wymienia, kto go o tych szczegółach uwiadomił, że Karasowski powtórzył rzecz za nim tylko, więc świadectwo to najmniej znaczy.

Gavard opowiadał, że na drugi dzień, 16 Października, gdy wierne koło przyjaciół otaczało go jak to było nieustannie, on księżną Marcelinę i pannę Gavard także uczennicę swoją, do siebie przywołał i prosił, aby przez pamięć na niego razem grywały, a on ich będzie zpoza świata słuchał. Wskazując na Franchomme, dodał: że go księżnie poleca i znowu prosił, aby Mozarta na pamiątkę po nim grywała: (*Vous jouerez du Mozart en mémoire de moi...*).

A Sand? Na dwa dni przed śmiercią Szopen mówił ze smutną goryczą Franchommowi, iż miał od niej obiecaną śmierć w jej objęciach (*Elle m'avait dit, que je ne mourrait que dans ses*

bras). Czy i ona nie doznawała w tej chwili bolesnego ściśnięcia serca, czy i ona nie cierpiała, nie czuła palącej boleści wyrzutów sumienia i nie chciała otrzymać przebaczenia z ust konającego? Niecks starał się zebrać tu wszelkie możliwe szczegóły, ale krążyły różne wersje, pochodzące nawet z ust tych, którzy blisko stali i prawdę najlepiej wiedzieć mogli. Gavard napisał, iż między tymi, których do Szopena nie dopuszczono, znajdowała się niejaka M-me M., która przybywała dowiedzieć się o stan zdrowia chorego w imieniu jakoby Sand, niemogącej przybyć osobiście z powodu zajęcia, spowodowanego przez zbliżające się wystawienie w teatrze jakiegoś jej dramatu. Był to, powiedzieć można, jeden z aktów tragedii, która się między tem dwojgiem ludzi rozegrała, skomponowany przez rzeczywistość tak, jak nie umiałby go pomyśleć najzaciętszy mizantrop. Gavard i wszyscy przytomni wtedy przyjaciele Szopena ani nawet pomyśleć mogli, aby to poselstwo dziwnie nietrafne do niego dopuścić. Gutman utrzymywał, że Sand osobiście na schodach wtedy była i pytała jego samego, zali nie mogłaby się widzieć z chorym; ale on jej to odradził, ze względu na stan Szopena i wzruszenie którego doznać-by musiał, ujrzawszy ją, ale Niecks twierdzi, że pamięć musiała Gutmanna zawieść, bo poprzednio dwukrotnie mu sam mówił, iż była to córka Sand, wtedy już zamężna Clésinger, która przyszła się zapytać: czyby to było rzeczą możliwą, aby matka jej mogła Szopena zobaczyć i pożegnać go na ostatnie już rozstanie się na ziemi? W każdym razie jest to pewnością, że Sand, czy wskutek własnej woli swojej i twardości serca, lub może nieśmiałości już ukazania się oczom człowieka, którego zabiła, lub któremu przynajmniej skróciła życie, że *Lukrecya* nie pożegnała się z nim na rozstanie ostateczne, nie otrzymała od niego rozgrzeszenia...

Mnóstwo ludzi, ziomków, przyjaciół cisnęło się, aby go ujrzeć. Nie puszczano ich do niego, przybywano też głównie, aby się dowiedzieć tylko, co się z nim dzieje, a on już tchu zachwycić nie mógł i tylko podtrzymywany przez ramiona przyjaciół na chwilę od poduszki głowę podnosił. Gutman, człowiek silny i najlepiej umiejący dogodzić cierpiącemu biedakowi, zwykle mu tę posługę oddawał i ramieniem go swem opasawszy, w postawie siedzącej chwilę jakąś go trzymał. W głowach łóżka siedziała księżna Marcelina i nie opuszczała go aż do końca, jak najtkliwsza siostra, z twarzą łagodnie uśmiechającą się do niego, choć serce kobiece musiało silnie cierpieć pod widokiem tego powolnego konania, tego obrazu okrutnych cierpień ostatnich. Grupa wiernych przyjaciół podzieliła się obowiązkami; jedni przebywali kolejno w pokoju śmierci, inni, zgromadzeni obok, wykonywali różne posługi, zwłaszcza przyjmowania i odprawiania osób, których mnóstwo cisnęło się po wiadomości, co się dzieje?... Zdawało się, że to ktoś odjeżdża w drogę daleką i żegnają go tak tłumnie jego przyjaciele — pisze Gavard, dodając, że, jak na służbie u króla zmieniali się tu ludzie, rozdziając między sobą, co komu spełniać należy. Że siostra była też wciąż przy nim, to już jest rzeczą naturalną. D. 16-go rano przyszło polepszenie pewne i przyjął komunię z rąk księdza Alexandra Jełowickiego wobec licznie zgromadzonej grupy ludzi. Między umierającym i księdzem Jełowickim panowało pewne oziębienie dobrych niegdyś stosunków od lat już kilku; przyczyny tego były naturalne, tak ze względu przyjaźni, jaką ksiądz Jełowicki dla Szopena czuł, jak i ze względu na jego charakter duchownego, który miał prawo i obowiązek stawiać między człowiekiem uniesionym namiętnością a złą kobietą, która na niego zabójczy urok rzuciła. Teraz przecież to, co ich rozdzielało, już zostało na stronie — teraz kapłan chciał stanąć u łóża konającego z posługą ostatnią i trzykrotnie odprawiany przez tych, którzy się lękali dla chorego wzruszeń silnych, wrócił raz czwarty i prosił, aby Szopen dowiedział się, że tu jest, co gdy nastąpiło, znalazł się u jego łóża i przebywał tam codzień, aż nakoniec Szopen sam zażądał od niego posługi ostatniej — chrześcijańskiego aktu

spowiedzi i przyjęcia komunii, poczem uściskał go i wyszeptał: „Dziękuję... nie umrę już teraz jak świnia“... Liszt pisze, że ust księdza Jelowickiego to słyszał, tak jak i to, co następnie podaje:

„Ogarnęła mnie wtedy niewysłowiona radość, jak i niewysłowiona trwoga. Jak ja tę duszę drogocenną Bogu oddam? Padłem na kolana i zawołałem do Boga z głębi wiary mojej. Ty sam o Boże mój! możesz ją łaską swoją ogarnąć“. Podał choremu krzyż, on go objął obydwojema rękami, nie mówiąc, tylko łzy duże naliła mu spływały. Ksiądz zapytał następnie.

— Czy wierzysz?... on wyszeptał: — Wierzę...
— Czy wierzysz tak jak cię matka nauczyla?...
— Wierzę tak, jak mnie matka nauczyla... była wyszeptana odpowiedź, a oczy zwróciły się na krucyfiks, i wtedy kapłan komunii mu dał, ostatniego namaszczenia dokonał. Potem wyraził życzenie, aby dano zakrystyanowi dwadzieścia razy tyle, ile za akt taki otrzymuje zwykle.

Miał więc do końca pełną przytomność umysłu. Konanie właściwe rozpoczęło się dnia tego w nocy. Chwytały go takie kurcze, że Gutman musiał mu silnie ręce w kostkach ścisnąć, aby się nie wykręcały boleśnie. Przed samą śmiercią, między trzecią a czwartą godziną w nocy podano mu wody z winem, Gutman mu szklankę do ust przysunął, a on sobie wargi zwilżył i zaraz wtył padł, szepcząc: — Umieram... ducha oddał.

Jest przecież inna jeszcze w szczegółach drobnych różniąca się nieco wersja tej ostatniej chwili. Gayard pisze, że cały, późno w noc przeciągnięty wieczór, modlono się przy nim na zmianę, modlono się głośno, odmawiano zapewne litanię przy konających, bo świadek podaje szczegół, że wszyscy odpowiadali, tylko z ust jego nie wyszło już słowo żadne. Dusił się, tak już ichu chwycić nie mogąc, że twarz mu szczerzyła. Doktor Cruveille pytał go: czy cierpi bardzo? On odpowiedział szeptem: — Już nie... i to były słowa ostatnie, ale dodają tu jeszcze niektórzy, iż gdy się na poduszki osunął, rękę Gutmana ujął i pocałował, a ten widząc, że to już koniec, tak żaleł wybuchnął, że go Grzymała z pokoju wyprowadzić musiał. O tem pocałowaniu ręki, która go w ostatniej chwili życia dźwigała, pisze i Liszt, a maluje to duszę człowieka łagodną, wdzięczną, miłości pełną, mimo sławy tak wielkiej nigdy nie pyszną.

Śmierć, według świadectwa Gayarda dała rysom jego jakiś „wspaniały wyraz spokoju“. Maskę, którą z oblicza już zastygłego zdjęto, oddaje to wyraźnie, przecież Gayard pisze, że szkic ołówkiem przez Kwiatkowskiego wykonany zaraz po śmierci, jest najdoskonalej podobny.

Liszt utrzymuje, że oblicze zmarłego dziwnie wypiękniało po śmierci, dziwnie odmłodziło, odziało się wyrazem czystości, młodości, piękności swej delikatnej, którą za życia odejmowała mu choroba, ryjąc tu wyraz żalu, zmęczenia i cierpienia bolesnych. Wiedzano o wielkiem zamilowaniu Szopena do kwiatów i jego łożo śmierci, ostatnie miejsce spoczynku na ziemi zamieniło się też w jeden ogród; spoczywał tak między nimi piękny znów i młody, ponad ziemskich żądź cierpienia podniesiony, a wszystkie dzienniki francuskie podały wiadomość o tej śmierci, wraz z wiadomością o życiu, które ją poprzedziło. Pisały to najpierwszemu pióra w Paryżu i wszystkie zarówno podnosiły tak wielki talent, jak piękność duszy zmarłego. Pogrzeb miał miejsce dopiero dnia 30 Października, a to z przyczyny, aby mógł się odbyć bardzo uroczyste, co wymagało przygotowań odpowiednich. W kościele S-tej Magdaleny odprawiono nabożeństwo żałobne, dźwięki „Requiem“ Mozarta rozległy się wspaniale, a proboszcz miejscowy, ksiądz Daguerre, pozwolił na wprowadzenie na chór śpiewaczek z teatru, bez których wykonanie wspomnianego „Requiem“ nie byłoby możliwym. Tyle kare!, powozów stanęło przed kościołem rzędem długim, że lud paryzki pytał się: jaki to książę, jaki wielki pan leży tam w trumnie?

Był to wielki pan, wielki magnat z łaski Bożej, który odchodził przecież ze świata młodo, złamany, zbolący i nie już nie żądający od życia. Dzienniki pisały, że był to pogrzeb monarchy tonów.

Spoczął na cmentarzu *Père-Lachaise*. Książę Adam Czartoryski siedł na czele konduktu, książę Aleksander Czartoryski, Franchomme, Gutman i Meyerbeer trzymali rogi całunu. Za trumną ciągnął się orszak ludu wielotysięczny, a między niemi znaczna liczba kobiet w żałobie.

Były to jego uczennice. Sand, choć o tem Niecks bynajmniej nie wspomina, nie śmiała się ukazać w orszaku żałobnym, który przeciągał koło jej okien. Patrzyła zpoza żaluzji zamkniętych — patrzyła przez szpary, a że nie jest to podanie mylne, ręczyć można, bo twierdzili to ziomkowie Szopena, ludzie poważni, którzy towarzyszyli zwłokom jego na miejsce wiecznego odpoczynku.

Sand umiała jakimś podstępem wydostać listy swoje, pisywane do Szopena; miało się to stać jakoby przypadkiem za pośrednictwem Dumasa syna, które je znalazł na granicy naszej, zostawione przez wracającą do kraju siostrę Szopena dla formalności rewizyjnych, a które on jakoby od urzędnika owego zdobył sobie i później przez życzliwość oddał jej, co je pisała. Co tu jest prawdy, a co kompozycji, trudno zgadnąć? Fakt tylko stoi, że je w ręce dostała, aby ich świat nie ujrzał.

Że się umiała w życiu obracać, że umiała sobie szukać środków odpowiadających jej zamiarom, dowodzi napisana przez nią powieść: *Lucrezia Fioriani*, przez którą tak chciała serce Szopena i uczucie jego godności ukłóć, aby ją opuścił wtedy, gdy chory, bezsilny już, ciężył jej tylko i był zawadą w używaniu życia wesolem. Ze sam Szopen tak to uważał, dowodzi fakt, że ją potem w bolesny sposób *Lukrecyą* nazywał. Jakkolwiek Sand tłumaczy się ze względu na opinią ludzką z tego zarzutu w historii życia swego, *Histoire de ma vie*, nikt temu przecież nie uwierzył, a przynajmniej ci, którzy bliżej znali te stosunki.

Gdy jej się to nie udało i gdy biedak o słabej woli, nie miał siły zerwać pęt, które przysięgała go do siebie, wymyśliła nędzną komedię jakoby zazdrosnego posadzenia, że się kocha w jej młodzieńckiej córce, Solange, i wtedy uderzył mu już serce w piersi resztą dumy, resztę uczucia godności. „Opuszczę dom twój pani i życzę sobie, abym od tej chwili jakoby nie istniał dla ciebie“... rzekł jej wyniosłe i dotrzymał słowa. Miał przecież swoją chwilę zemsty wtedy, gdy wobec jego trupa kryć się musiała przed oczyma ludzkimi.

Ciało jego, obecnie już garstka prachu, spoczęło obok sławnych jak on mistrzów: grób jego znajduje się tuż obok mogiły Cherubini'ego, Beliniego, a dalej ciągnie się cały szereg mogił wielkich muzyków: Grétry, Boieldieu, Kreutzer, Mehul, Paër leżą w pobliżu, ale najsłachetniejszą częścią cielesnej istoty Szopena: serce znajduje się w mieście naszym, w kościele S-go Krzyża, gdzie w 1880 r. umieszczono też marmurowe jego popiersie, w niszy marmurowej.

W Paryżu zaraz po śmierci Szopena zebrał się komitet dla wzniesienia mu pomnika, którego wykonanie powierzono rzeźbiarzowi Clesinger, zięciowi Sand, bo mężowi jej córki Solange. Przedstawia on piedestał z medalionem, na którego jednej stronie znajduje się szlachetnie piękne oblicze Szopena, po drugiej żalozna muza ze strzaskaną lirą w ręku. Wykończony w 1850 r. umieszczony został na mogile mistrza; lecz największym jego pomnikiem, nieśmiertelnego istnienia są dzieła jego, wiecznie piękne i świeże, bo śpiewają one na tę nutę, która nie przestarzeje się nigdy dla serc ludzkich, na nutę tęsknoty za zaziemskim ideałem człowieka.

ZARĘCZYN CHORAŻANKI.

NOWELLA HISTORYCZNA

przez

JÓZEFA W. RYCHTERA.

(Dokończenie).

Co za święto dziś w domu pana Chorążego Łukasza? Wszystkie okna dworskie oświetlone. Od rana zjeżdżają goście. Służba rąco się uwiąja. Ba, nawet brytan, ów wierny stróż zagrody, nie drzemie, jak zwykle, jeno stoi przed budą i macha ogonem. Wewnątrz dworku słychać gwar, który często przygłusza wołanie ciotki Agaty: Jewka: gdzie sól? Jewka! gdzie imbir, a pieprz? Antek! ruszajże do piwnicy, utocz wina do dzbanów, a nie smakuj tam.

Małgoś! indyki gotowe? a udziec jeleni? Popatrz na ciasto — podaj szafate! — ubij jaja! żywo! żywo!

Aromat z kuchni bucha przez otwarte okno i lechce powonienie.

Niebawem też rozstrzygnie się los tych darów bożych, które ręka ciotki Agaty zamieniła w przysmaki, bo już zbliża się pora wieczerzy.

Do kuchni wbiegła panna Zofia.

— Może pomódz ciotuni? — zapytała wdzięcznie.

— Dziś nie, Zosieńko: idź, idź do pana Stanisława, bo ręczę, że niespokojny — gdzieś mu się podziła?

Jewka! idź z panienką — i nakryj do stołu, tylko ostrożnie z łódkami. Zosieńko! uważaj na nią.

Panna Zofia poskoczyła lekko jak sarenka naprzód — a za nią pośpieszyła Jewka.

Po upływie niespełna pół godziny wszystko było przygotowane do wieczerzy. Pan chorąży wprowadził gości do sali jadalnej.

Pierwszy wszedł pan starosta z Jejmością małżonką i córeczką Anną prześliczną brunetką — następnie — pan kasztelan z podsadkowatą polowicą, dalej: Imci pan miecznik z córką, a za nimi: Zofia ze Stanisławem, bracie szlachecka, kilku towarzyszy pancernych zpod chorągwi pana Łukasza — i tam dalej.

Już w sali było gwarno i wesolo, każdy usadowił się na swoim miejscu: pan starosta siadł na pierwszym, obok niego chorąży, obok chorążego staroscina i tak dalej w kolejnym porządku. Jeno poprawej stronie pan Starosty było wolne miejsce dla Jejmości panny Agaty. Honor domu tego wymagał, chociaż pana Agata nie miała czasu usiąść, gdyż uwijała się między gośćmi, dysponując służbą i uważając, gdzie komu i co potrzeba. Czasem tylko rzuciła schlebne słówko temu lub owemu gościowi i dalej pełniła bez przerwy zaszczytne zadanie gospodyni domu.

Nasampród rozdano gościom zupełną rakową — bardzo smaczną — potem przyszło mięso potrzebne ryżem — następnie pawie, indyki pieczone z soporem, kapłony pieczone, udziec jeleni, mostki cielece nadziewane i wiele, wiele innych potraw, wybornych w smaku i zapachu.

Ale zanim wzięto się do spożycia pieczywego, powstał pan chorąży i wzniósł toast: Na pomyślność gości.

Poczem wszyscy wychylili kubki, napelnione starym węgrynem.

Po pierwszym toaście dysputa się ożywiła, miśy krążyły wokoło, i pieczone trzeszczało pod nożami.

Pan starosta sapał i jadł z apetytem, mrużąc pod nosem: „kapitalne, mociumdzieju“. Pani starościna, jedząc, przymrużała oczy i od czasu do czasu rzucała czuły wzrok na pana chorążego, który prawil jej urywanemi słowy o znakomitym starościńskim stole.

Pani kasztelanowa umaczała ledwo usta w winie przy toaście, a już była cała jak piwonja i nader żywo rozprawiała z rotmistrzem.

Całe też towarzystwo — starszyzna i młodzież — była w dobrym humorze. Panna Agata uwijała się koło stołu i zagrzewała gości do spożywania, a pan chorąży sukkursował ją słowami:

— Proszę waszmościów niefolgować. Honor gospodyni, gdy gościom smakuje.

Młodzież nie dała się bardzo prosić i jadła z apetytem, jeno czasem ten i ów spojrział gorąco na pannę Zofię i na Stanisława; a w spojrzeniu tem czytała: „Boże, jaki Stanisław szczęśliwy, że posiedzie ten skarb nieoceniony.“

Ba, ba, że szczęśliwy, to więcej jak pewne — bo w całej Polsce trudno znaleźć takie wdzięczne cacko, jak panna Zofia. Jej liczko białe, jej czarne oczy, jej nosek grecki i te cudne, jasne sploty włosów, złożyły się na cud niewieściej piękności. Dodajmy niewysłowny wdzięk, jaki przebija się w jej uśmiechu, w słowie, w ruchu — ach, wierząc, że niejedyn z obecnych tu młodzieńców mógł pozazdrościć szczęścia Stanisławowi.

On bowiem był wybrańcem anielskiej panny Zofii.

Twarz Stanisława promieniła szczęściem.

Dziś ta uczta rozstrzygnie jego los — dziś jeszcze nazwie Zofię swoją narzeczoną.

— Piję zdrowie miłościwego nam gospodarza i jego zacnej rodziny! — odezwał się głos starosty.

— Niech żyją! — zawtórowało towarzystwo.

Pan chorąży podziękował za toast krótkiemi słowy: „Bóg zapłać!“ poczem skinął na służbę, która corychło nalała w kubki wina, a zwróciwszy się do Zofii i Stanisława, rzekł:

— Przedstawiam waszmość państwu miłującą się parę, której serca Bóg połączył, a ja błogosławie...

— Niech żyją! niech żyją! — gromkim głosem zawołało towarzystwo i wszyscy cisnęli się do młodej pary, by uderzyć wspólnie o kielichy.

Pan starosta pierwszy zbliżył się do Zofii i ucałował jej główkę.

Wszyscy radowali się szczęściem kochanków i winszowali im z serca.

— Hej! rycerzu, zdobyłeś nielada klejnot — ozwał się starosta do Stanisława. — Niejedyn śmiertelnik może ci pozazdrościć szczęścia. Ale zanim Zosienkę powiedzisz do ołtarza, musisz, rycerzu, stanąć jeszcze w potrzebie ojczyzny i na polu walki zdobyć świeży laur. Mam bowiem wieści od Imci pana wojewody, że najdalej za dwie niedziele ruszycie w pole na harc z Tatarami. Islam Girej ogromne zbiera siły.

— Serce moje uzbrojone męstwem i odwagą. Dotychczas szedłem na wroga, by bronić jedynie ojczyzny, a teraz oprócz niej bronić będę własnego szczęścia! — odrzekł z zapalem Stanisław.

— Eh, — wtrącił pan kasztelan — toż król jegomością napędził Tatarom takiego pietra w piętę, że nierychło pokuszą się pójść przodem.

— Utnij łeb hydrze, a wyrośnie drugi! Czy-to waszmość nie znasz Tatarów — dogadywał pan Hetka, szlachcic chudy, ale mowny, który dotychczas wciąż kręcił wąsa i zerkał na pannę Agatę; ale nadaremno. Panna Agata była zbyt zajęta wszystkimi gośćmi naraz, by mogła Imci pana Hetkę wyróżnić i odplacić mu wzajemnością.

— Słyszałem ja, że na Ukrainie zapuszczają Tatarzy od czasu do czasu drobne zagony — wtrącił pan chorąży i dodał:

— Bóg z nami, mości panowie! pohulamy z bisurmanami, jeśli tego będzie potrzeba, a teraz pijmy zdrowie jegomości pana kasztelana dobrodzieja, co tak dzielnie z królem Jegomością gromił Tatarów.

To mówiąc, wznosił kubek w górę i krzyknął: „Niech żyje!“

Toastowi zawtórowało towarzystwo gorącem:

„Niech żyje.“

— Mości chorąży — zagadnął starosta — jutro wysłę osobnego posłańca z wieścią do króla Jegomości, że chorążanka podbiła i zniewoliła serce dziarskiego Imci pana Stanisława i przyrzekła mu swoją śliczną rączkę.

Będzie to miła niespodzianka dla króla, bo wiadomo w całej Polsce, ilu-to znakomitych młodzieńców dostało rekuzę.

Ledwo starosta dokończył tych słów, rozległ się w sali krzyk:

— Jezus Maryja! Tatary!

— Gdzie? gdzie? — chórem zapytali mężczyźni i każdy mimowolnie chwycił za kord. Pan chorąży przyskoczył do strwożonego pacholka, który przyniósł tę przerażającą wieść.

— A mówże, gdzieś widział Tatarów?

Pacholek był błydy jak chusta i, wskazując ręką na drzwi, wołał:

— Jegomości, ratujcie! Tatarzy w ogrodzie!

— Panie rotmistrzu, wiedz kobiety do alkowy! Antek, zaprzyj drzwi od ogrodu! — nawoływał chorąży.

Przerażająca wieść spadła nieprzewidzianie i jak grom razila wszystkich.

Kobiety biegly z krzykiem przez sień do alkowy. Za niemi starosta i imci pan Hetka... Popłoch był nie do opisanja.

— Panie kasztelanie, bierz kilku zuchów i stań na tarasie od strony ogrodu!

— Mości panowie, za mną! — komenderował pan chorąży i z dziesięciu towarzyszami rzucił się ku drzwiom od strony podwórza.

W tej chwili rozległy się w powietrzu straszliwe wycia i okrzyki, a niebawem słychać było świst strzał i szczekanie szyb.

— Jeden! dwa! — stój przy drzwiach; bronić wstępu!

Na ten rozkaz chorążego, stanęło dwóch towarzyszy u drzwi z dobytymi pałaszami.

— Reszta za mną! Zabiegniemy im tyły od strony ogrodu.

Ledwo ruszyli z miejsca, nawała tatarska wybiegła zpoza przyległych domowstw i z okrzykiem: „Allach!“ rzuciła się na nich.

Rozpoczęła się straszna walka. Chorąży, wzięty w pierścień, zgrzytał zębami i machał szablicą w prawo i w lewo, a za każdym machnięciem runął Tatar na ziemię.

Panowie towarzysze cięli szablami rozpaczliwie.

Moc Tatarów legła pod ich nogami, lecz ubytek ten wcale nie trwożył rozbestwionej dziczy. Doremna walka, gdy nieprzyjaciół dziesięć razy silniejszy.

Jęk, pisk, dzikie okrzyki, ryk uprowadzanego bydła, szczek szabel i poświst strzał tworzyły straszną wrzawę.

Chorąży coraz słabiej robił szablicą — już mu sił zbrakło.

Widział nieszczęśliwy, jak czereda po trupach dzielnych towarzyszy broniących wejścia przedarła się do wnętrza, widział płonące wokoło budynki, rozpacz ścisnęła mu serce: dobył więc ostatek sił i konwulsyjnym ruchem rzucił się ku wnijściu. Ale czereda, zbita w masę, uniemożliwiła ten ostatni wysiłek.

Chorąży padł na ziemię. W tej chwili Tatar chwycił go za żupan i powłókł za sobą w stronę ogrodu.

Pięciu towarzyszy już poległo, trzech jeszcze walczy z dziczą...

Dworek pana chorążego dzielił się na dwie części: przednią, od głównego wejścia z podwórza, stanowiła sala jadalna i sala rycerska, a po prawej stronie od wchodu była kuchnia.

Część tylną oddzielał wązki kurrytarz, do którego prowadziły drzwi z sali rycerskiej. Z kurrytarza wchodziło się do sali zabaw. Z prawej strony wejście było do komnaty chorążego, z lewej do alkierza. W środku bocznej ściany znajdowały się drzwi, prowadzące na taras.

Przednią część dworku opanowali już Tatarzy. Pięciu szlachty broniących wstępu do sali jadalnej — pomordowano.

Hulaj! — wrzeszczy rozkiełznana dzieć i zmiata jadło ze stołów. A ten i ów ciągnie wino, aż mu oczy na wierzch wylażą, reszta gwałtownie szturmuje do drzwi, prowadzących na kurrytarz. Jeszcze chwilką, a drzwi pękają, ale przedostać się do kurrytarza będzie trudno; poprzód bowiem, na rozkaz Stanisława, zastawiono sprzętami całe miejsce między kurrytarzem a drzwiami.

Ale słaba nadzieja, by ta nieszczęśliwa forteczka długo wytrzymała.

Jedyna nadzieja w Bogu, to też wszystkie niewiasty znajdujące się w alkierzu klęczą przed obrazem Pauny Częstochowskiej i gorące zanoszą modły.

Taras od strony ogrodu jeszcze niezdobyty — broni go kasztelan i Stanisław z garstką towarzyszy.

Strasliwa dzieć tatarska walczy zjadale. Napadnięci walczą jak lwy. Jeden starczy za dzieściu.

Dwa filary tarasu stanowią dla Stanisława i kasztelana znakomity punkt obronny, ale czy długo zdolają oni wytrwać na stanowisku? Krwią tatarską obadwaj zbryzgani, już ledwo dyszą, a Tatarów moc wielka. Grad strzał leci w rozbite okna, z których ryczą samopały, ale coraz rzadziej, coraz słabiej.

Już zbrakło nabołów.

Hej! ha! hej! ha! wrzeszczą Tatarzy i całą siłą uderzają na taras. Panowie szlachta i towarzysze przyskoczyli do nich w zwartym szeregu i odparli natarcie. W tej chwili arkan zafurczał w powietrzu i spadł na szyję Stanisława.

Nieszczęśliwy stoczył się na ziemię...

Tatarzy, widząc, że jednego z dowódców powalono, ponawiają natarcie. Kasztelan cofnął się w tył i w tej chwili strzała przeszła mu gardło, a tuż obok niego padło dwóch towarzyszy pod rżaniami bisurmańskich jataganów.

Smutny koniec zaręczynowej uczty! Tatarzy wdarli się do sali...

Starosta i kilku braci szlachty tną strasliwie. Kilkunastu trupów już padło. Nie dadzą jednak rady ci bohaterowie ogromnej nawale bisurmanów. Wedrą się i do alkierza, a tam czeka ich łup nielada!

— Hurra! — wrzasnął jakiś śmielszy tatarzyn i rzucił się ku drzwiom. W tej chwili przyskoczył do niego Imci pan Hetka i jak płatnie szablicą — łeb rozpadł się na dwoje.

Był-to ostatni bohaterski czyn dzielnych obrońców, albowiem Tatarzy na dane hasło w zbitej masie i z dziką wściekłością rzucili się ku drzwiom alkierza i, stratawawszy nieszczęśliwego starostę, przedostali się do wnętrza.

Tu rozpasana dzicz zaczęła orgię.

Nie pytano o wiek, o piękność! Co tam znaczą podobne drobnostki... Tatar o to nigdy nie pytał.

Kobiety mdleją... Jejmość pani starościna dostała gwałtownych ataków nerwowych. Panna Agata, napół obłąkana, szamoce się z dzikim napastnikiem — ale wnet ulega sile.

Kasztelanowa pada bez przytomności na ziemię.

— Wara od niej! — krzyczy jakiś starszy Tatarzyn, trzymając za warkocz leżącą na ziemi Zofię, a drugi w tej chwili chwycił wpół uroczą starościankę i roztrącając tłum, uniósł ze sobą.

*

*

*

Zaledwie słońce rzuciło pierwsze promienie, już w dworku horążego nie było żywej istoty.

Tylko zniszczenie wokoło i masa trupów. Nawet stary brytan, co się był zerwał z łańcucha i bronił zagrody, padł, zboczony krwią...

A Tatarzy?

Już uszli daleko i łup z sobą zabrali.

Cztery mile od wioski ciągnie się długi las, a za lasem wije się srebrna wstęga Dniestru. Tu rozbili Tatarzy tabor i odpoczywają po całonocnej hulance. Gdzieś tam gromadka niezmordowanych hultajów raczy się wódką lub winem i wyśpiewuje sprosne piosenki:

Wpółrodku taboru, na murawie, stoi namiot herszta tatarskiej czeredy, obok stoją wozy, a opodal, na trawie, powiązani jeńcy jęczą w rozpacz...

Starosta, cały wodą zlany — ledwo dyszy, tuż przy nim siedzą: Imci pan Hetka i miecznik, dalej Stanisław i kilku towarzyszy.

Pod namiotem herszta leżą wiejskie dziewy, a między nimi Zofia i starościanka Anna.

U nóg Zofii usiadł baczysty tatarzyn i, muskając swoją czarną, długą brodę, przypatrywał się pożądliwym okiem wdziękiem Zofii.

Po chwili zdjął z głowy zawój i podłożył takowy pod cudną jej główkę.

Scenie tej przypatrywał się Stanisław i miecznik, inni ich towarzysze byli znużeni i wcale nie zważali na to, co się wokoło nich działo.

Krwawem bielmem zasłono oko Stanisławowi na ten widok. Miecznik od czasu do czasu zgrzytnął zębem i milczał jak grób.

— Hej! drabie! — zaklął Stanisław i chciał się podnieść z ziemi, ale stojący o kilka kroków na warcie Tatar krzyknął:

— Siedź!

A bisurmanin wpatruje się w blade liczko cudnej Zofii i głasze jej warkocze...

Stanisław widzi te umizgi poganina i nie może uwolnić ukochanej.

Ręce jego skępowane powrozami.

Jęk rozpaczliwy wydobył się z piersi Stanisława, widział bowiem, jak poganin ręką objął kibić swej ofiary. W tej chwili Zofia ocknęła się i strwożona usiłowała wyrwać się z rąk potwora, ale nadaremno. On trzyma skarb swój silnie.

— Boże, zlituj się nademną! — jęła i zemdląła w objęciach tatarzyna.

— Cicho, lubo! cicho... — mówił tatarzyn i bardzo przycisnął Zofię do swej piersi i gorący pocałunek złożył na jej bladych ustach.

— Ha, kotrze! — krzyknął rozpaczliwie Stanisław i zerwał się z miejsca.

W tej chwili przyskoczył do niego tatarzyn stojący na warcie i, chwyciwszy go obiema rękami za bary, powalił na ziemię.

— Związać mu nogi! — krzyknęli przypatrujący się tej scenie hultaje.

Niebawem skępowano nieszczęśliwego Stanisława tak, że nie mógł się ruszyć.

A tam obrzydły romans tatarzyna trwa dalej...

Całuje poganin chrześcijańską dziewczę, obejmuje obiema rękami jej kibić, przyciska do swej piersi...

— Boże! — jęła Zofia i w tej chwili uczuła gorący oddech tatarzyna, który całusem zatkał jej usta.

Nieszczęśliwy Stanisław, widząc hańbę najdroższej istoty — postradał zmysły...

Gryzł z rozpacz ziemię, przeklinał i błagał Boga o zmiłowanie, rzucał się konwulsyjnie, chcąc rozzerwać kępujące go powrozy, ale sił nie starczyło.

Jeszcze raz spojrzął wzrokiem obłąkanym na nieszczęśliwą.

— Zofio moja! — jęknął i zamilkł na wieki.

Serce nieszczęśliwemu pękło z rozpacz...

— Ałlah! Ałlah! — zagrzmiąło w obozie i w okamgnieniu stał się popłoch i zamieszanie. Tatarzy biegli naoslep, ten i ów chwytali z wozów, co mógł, i uciekał. A hufiec pancerny, jak huragan, walił całą siłą na pierzchającą zgraję...

Był to hufiec wielkiego hetmana koronnego, przysłany na odsiecz nieszczęśliwym jeńcom.

Uratowano starostę, miecznika, kilku towarzyszy i imci pana Hetkę. Ale nie zdołano uratować Zofii i Anny, które herszt hordy tatarskiej uprowadził ze sobą...

* * *

Imię Pan Choraży Łukasz leżał w ogrodzie przy swoim dworze — martwy.

Rany na jego ciele świadczyły, że długo walczył w obronie rodzinnego gniazda.

K O N I E C.

NIEWYZYSKANA GAŁĄŻ PRACY.

Nie jesteśmy społeczeństwem bogatym; wobec zmian ekonomicznych, jakim ulega wielka produkcja płodów gospodarstwa rolnego, żadne źródło dochodu nie powinno być zaniedbanem na wsiach naszych, zwłaszcza w tych gałęziach pracy, które nie wymagają znacznie większego nakładu. Przemysł domowy, domowe gospodarstwo kobiety ma tu znaczenie niemałe; miało je ono zawsze, i rozumiały to matki nasze, usiłując przez wyroby gospodarstwa swego zaopatrywać tak potrzeby rodziny, aby towar kupny wychodził tu w ilościach możliwie najmniejszych. Uległo to z czasem zmianie wielkiej; dziś przecież potrzeba więcej niż kiedy wracać do wzoru przeszłości, lecz nietylko przed wydatkiem się bronić, ale źródła dochodu odkrywając, jak to czynią już te z pośród gospodarnych pań wiejskich, pracujących na zbyt, których produkcja wytworzyła i utrzymuje w mieście naszym sklepy zwane wiejskimi.

Ale jest jedna niewyzyskana u nas gałąź pracy kobiecej: jedwabnictwo, które zagranicą, zwłaszcza we Francji, we Włoszech daje zarobek znacznej liczbie producentów jedwabiu surowego. W roku zeszłym czasopismo francuskie: „Revue des deux mondes“ zamieściło w numerze z 1-go Września obszerny artykuł przedstawiający stan przemysłu jedwabnego we Francji, wykazując jak znacznej liczbie osób, (150,000) produkcja kokonów jedwabniczych przynosi takie korzyści, że w klasach mniej zamożnych staje się to źródłem utrzymania, dla kobiet zwłaszcza. I u nas tak być-by mogło, ponieważ pora chodowania jedwabników, pora ich oprzędu, przypada na czas w strefie umiarkowanej wszędzie już cieplej: od połowy Maja do początku Lipca. Różnice klimatyczne znikają tu zatem, a nawet w znanej czytelnikom naszego pisma odezwie zarządu „Towarzystwa Jedwabniczego“ zostało wykazane, że u nas mniej jeszcze w tym czasie upalna temperatura ułatwia zadanie, bo nie potrzeba, jak w krajach cieplejszych, bronić się od szkodliwego dla jedwabników gorąca.

Od chwili gdy „Warszawskie Towarzystwo Jedwabnicze“ ogłosiło, iż zakupywać będzie oprzędy jedwabnicze, płacąc za funt dobrych kokonów po rublu, otworzyło się dla kobiet naszych, na wsi zamieszkujących, źródło zarobku pewnego, z nakładem pracy lekkim i niedługim, bo tylko sześć tygodni trwającym. Trzeba przecież na to posiadać liść morwowy, którym żywią się jedwabniki, trzeba więc mieć w ogrodzie, w sadzie swoim morwy, i to powinno być pierwszym krokiem fundowania przemysłu jedwabniczego, aby morwę, *białą morwę* zasiewać. „Towarzystwo“ daje tu w rozsyłanym przez siebie okólniku objaśnienie, jak postępować należy. Najpierw na zagonie ziemi, skopanej głęboko na stopę, lub półtora, wysiać trzeba wiosną lut nasienia morwy (białej), który w biurze zarządu „Towarzystwa“ kosztuje nie więcej nad 20 gr. a nawet bezpłatnie udzielony być może, tak jak do każdego zakupu nasienia morwowego zarząd dołącza bezpłatnie egzemplarz instrukcji: „Sposób zasiewu morwy“, wydanej przez byłą „Współkę Jedwabniczą“. W jesieni już się wytworzy z tego kilka tysięcy płonek morwowych, na jedną lub półtorę stopy wysokich, które trzeba na następną wiosnę rozsadzić, czy to tworząc z nich żywopłoty, czy też szkółki, w czym stosować się należy do okoliczności, szczegółowo przez instrukcję wykazanych. Już zaraz w roku następnym przycina się gałązki płonek dla regularnego wzrostu drzewek a liść ich obrócić można na wyuczanie się hodowli gąsienic jedwabniczych.

Drzewo morwy dojrzałe już jest zupełnie w 12 lub 15 roku. Jeżeli było dobrze pielęgnowane i wyrosło zdrowo, można na liściu każdego wyhodować od pięciuset do tysiąca jedwabników, co

przedstawia rezultat od półtora do trzech funtów oprzędu, a licząc na pieniądze według cen naszych, od półtora do trzech rubli. Można zatem osiągnąć paręset rubli z drzewskromnierozsadzonych wzdłuż płotów, wzdłuż dróży. W krajach gdzie jedwabnictwo jest rozwinięte na szeroką skalę, jak we Włoszech, we Francji, w Szwajcarii, istnieje przemysł hodowania morwy na zbyt liścia, który się na targ do miast przywozi.

Trzeba przecież na to, aby hodowla jedwabnicza rozwinięła się na szeroką skalę, aby ogarnęła szerokie koła producentów. Dzieje się to we wspomnianych krajach. Kobiety zwłaszcza, zamieszkujące miasteczka i miasta mniejsze, gdzie o zarobek jest trudniej, jak zwykle w miejscach oddalonych od głównych ognisk pracy, trudnią się takim połowicznym przemysłem jedwabnictwa i czyżby nie mogło dziać się tak u nas? Żony mniejszych urzędników, wdowy z dochodem jakiejś małej pensyjki dożywnotnej, lub niewielkiego procentu, mogłyby przysporzyć sobie coś grosza przez zajęcie nie ciężkie i nie długo trwające. Tosamo mogłoby się dziać i na wsiach, gdzie dziś wobec niższych cen zboża a przy podrożeniu pracy koło roli nie panuje dostatek. Zwłaszcza córka młoda — panna, niemająca żadnych szczególnych obowiązków do wykonywania, powinna znaleźć sobie jakieś zajęcie tego rodzaju, aby mogła być pomocą rodzinie — aby darmo chleba nie jadła, i jedwabnictwo szczególnie się na dział takiej pracy nadaje. Niech pokryje potrzeby jej stroju, niech da grosz na kupienie jakiejś dobrej książki, niech pozwoli spełnić od czasu do czasu uczciwy uczynek miłosierny, a zysk już będzie niemały — będzie bardzo znaczny.

W dodatku odpędzi się nudę; w dodatku wstąpi w pierś zadowolenie słodkie tego uczucia, że się przyłożyło choć w cząstce jakiejś do dobrobytu ogólnego, bo rozwój jedwabnictwa naszego to zamknięta droga dla towaru wprowadzanego, dla oddania obcym naszego grosza. Ziarnko do ziarnka — to miarka...

Nie brakuje przykładów, że hodowla jedwabników może się u nas rozwinąć i korzyść przynosić. „Kaliszanin“ donosi, że p. Rutkowski z okolic Koła prowadzi jedwabnictwo na szerszą już skalę, sprzedaje jajeczka jedwabnicze i drzewka morwowe, lut jajczek po 2 rs. A idą one nawet na wywóz, i to w ilości znacznej. W tamtych również stronach, w powiecie kaliskim p. Fr. R., nauczyciel ludowy w miejscowości blizkiej Koła, od dwóch lat dopiero, obznajomiwszy się z hodowlą jedwabników, otrzymał za wyprodukowane przez siebie i wysłane do Moskwy oprzędy blisko rs. 200 i gdy się pomyśli, że wobec ciężkich dla gospodarstwa rolnego czasach w każdym dworze i dworku wiejskim możnaby wyprodukować, choćby za taką już tylko sumę, oprzędów, dziwić się trzeba smutnej apatji, bezczynności naszej, że tak nie jest. Sześć tygodni, nie pracy już w ściślejszym tego słowa znaczeniu, ale zajęcia, przy małym, można powiedzieć, żadnym nakładzie, — a grosz, którego teraz brakuje często nietylko już na uprzyjemnienie sobie życia, na smaczniejszy chleba kawałek, ale na potrzeby niezbędne, znalazłby się w ręku naszych pań, panien wiejskich.

A dodać należy, iż na pomieszczenie hodowli jedwabników nawet znacznej, dość jest jednej obszernej izby, dostatecznie przewiewnej (byłe nie narażonej na cugi) którą zastąpić nawet może strych domu, stodoła, lamus jakiś. Przyrządy też są tu niemal żadne, bo wymagalnym jest jedynie duży stół, choćby z prostych desek zbity, odpowiednia ilość arkuszy dziurkowanego papieru, który nawet mogą zastąpić pracowite ręce ludzkie, a gdy hodowla jest na większą skalę, kilka stawideł piętrowych także z łat prostych i kilkanaście ram siatkowych. Nie kosztowne to przybory, a wydatek, jaki to pociąga za sobą zaraz w kilka tygodni zwrócić się może.

Do przedmiotów potrzebnych osobom, które zajęciu temu oddać się pragną, zalecić trzeba broszurkę o morwie napisaną przez vice-prezesa „Towarzystwa Jedwabniczego“, p. Adolfa Boguckiego, pod tytułem: „Prawidłowy sposób zasiewu

i hodowli morwy". Cena nie odstraszy chyba nikogo, bo książeczkę sprzedają po 12 groszy — koszt papieru.

Do rzędu osób zasłużonych w tym dziale pożytecznego przemysłu zaliczyć należy p. Wiktora Mańkowskiego z Trockiego, który od kilkunastu lat oddaje się z zamiłowaniem budowlani jedwabnictwa i obecnie, oprócz szkółek drzew morwowych, posiada w majątku swojej Radziejowice, wielki sad morwowy, liczący przeszło 1.000 drzew, które wydzierżawia po pół rubla za użytkowanie ze sztuki jednej.

Znający już praktycznie korzyści, jakie hodowla jedwabników przynieść może, zacny ten pan usiłował przemysł ten korzystny w okolicy swojej zaszczyć, ale znalazł jednego tylko naśladowcę, a raczej naśladowczynię, p. Ledóchowską. Okolice grodzieńskie liczą znaczną ilość właścicieli ziemskich i hodowli jedwabników mogłaby się tam korzystnie rozwinąć i przez takie gradacje przejść do ludu. Kapłani, mogliby dużo przyczynić się do tego, bo to jest głos, mający wśród wiosek naszych znaczenie największe.

Pionierowie tego pożytecznego przemysłu ukazują się przecież w stronach różnych. W okolicach kijowskich, w Taraszczyku hoduje jedwabniki już od lat kilku p. Szumski, usiłując przemysł ten zaszczyć ludowi wiejskiemu. Ze przecież zbywanie oprzędów fabrykom nie przynosi korzyści odpowiedniej, usiłował p. S. radzić sobie inaczej. Na prostej, drewnianej rozwijalni rozwijał tyle oprzędów, że tkacz wiejski pod jego dozorem i kierunkiem utkał dziesięć metrów materii jedwabnej, nieustępującej pod względem miękkości i pięknego wyglądu wyrobom fabrycznym, jak pisał korespondent który materię tę oglądał i który dodaje, że wyrób przedstawia pewien rodzaj pięknej, błyszczącej dymki. Znalazł się też zaraz zbyt na piękną tę tkaninę: rozprzedano ją po półtrzeciarubla za metr i właściciel postanowił też podobnie zużytkować posiadane oprzędy, z których mieć będzie 100 metrów materii, zapewne naturalnego koloru jedwabiu, gdyż nie ma tu wzmianki żadnej o jej farbowaniu.

Właścicielka ziemiska w okolicach Charkowa, w pobliżu stacji pocztowej „Dergacze“ p. Z. Lubarska, prowadzi na wielką skalę hodowlę jedwabników i dla rozszerzenia jeszcze tej działalności swojej zakłada sad morwowy na obszarze 30-morgowym.

Lu nas rozwój *Towarzystwa Jedwabniczego* jest pomyślnym. Na ostatnim posiedzeniu Zarządu, liczba członków powiększyła się przez zapisanie do *Towarzystwa* osób dziewięciu, a mianowicie: hr. Antoni Tyszkiewicz z Landwerowa, B. Cywiński z Wilna, ks. Adolf Piotrowski z Nowodworu. Filomena Zakrzewska z Głogowca, Marya Karczewska ze Strykowic Górnych, Anna Sypniewska z Woli Prażmowskiej, Michał Bergsohn, Felicyan Michalski i Edmund Raciborski z Warszawy. Zwiększa się też liczba członków korespondentów i zaproszono do pełnienia tych obowiązków p. Filomenę Zakrzewską na powiat Kutnowski i sąsiednie okolice, p. Czesława Skrzyżewskiego na Warszawę.

Prezes *Towarzystwa*, D-r Jan Banzemer ogłosił, iż w biurze Zarządu *Towarzystwa* (Nowy Świat N-r 41) nabywać można jajeczka jedwabnicze krajowego pochodzenia po dwa rs. za łut. Sprowadzone jajeczka z komórkowej hodowli są nieco droższe. Do każdej, większej czy mniejszej partii jajeczek, dodaje Towarzystwo egzemplarz instrukcji o hodowli jedwabników, oraz w biurze Zarządu znajdują się do nabycia obszerniejsze dziełka o uprawie morwy i hodowli jedwabników. Tamże wszystkim osobom, zgłaszającym się między godziną 2 — 4 udzielają się wszelkie możliwe objaśnienia, oraz okazują się modele przyrządów i sposób ich używania.

Przemysł jedwabniczy należy uważać za dobrą, pożyteczną gałąź pracy kobiecej, za przyczynek do pomyślności wsi naszych, więc za przyczynek do dobra ogólnego.

Marya Ilnicka.

NĘDZA W PARYŻU

podczas zimy 1891 r.

Ostra zima tegoroczna skuła na kilka tygodni lodowym pancerzem swoim Sekwanę i boleśnie uczuć się dała zwłaszcza ludziom ubogim w całej środkowej Europie, lecz najsilniej może dotknęła ich w Paryżu, gdzie mrozy tak długotrwałe należą do zjawisk nadzwyczajnych, i zastały też ludność nieprzygotowaną, nie zaopatrzoną odpowiednio na tak przykrą i ciężką zimę. Brak ciepłej odzieży, dostatecznej ilości opału, gorącego pożywienia, pociągła za sobą przeziębienia i choroby, które w nader krótkim czasie rozwinęły się epidemicznie, nekając i tak już niezmiernie zbiedzone klasy robotnicze. Przezorny, pracowity Francuz posiada zwykle drobne chociaż oszczędności, lecz wystarczyły one na czas krótki w tej walce ze srożącą się potęgą natury. Trzeba było zatem ratować się wkrótce pożyczką, zastawiać w lombardach ruchomości, a gdy potrzeby wrastały, a mróz nie folgował, biedacy oddawali się w szpony lichwiarzy, nie widząc wyjścia innego.

Lecz mrozy srożyły się długo, nie było czem spłacić zaciągniętych długów, zarobki nie wystarczały na zaspokojenie podwojonych potrzeb i wkrótce znaczna część ludności została pozbawioną dachu i szczupłego mienia, bezliźnie wyzuta ze wszystkiego, co dotąd stanowiło jej własność, i pomnożyły się nagle zastępy żebraków z profesji. Ludzie nie posiadający tajemnic tego zyskownego rzemiosła, i zmuszeni po raz pierwszy w życiu odwołać się do miłosierdzia publicznego, pchani rozpaczą, wyciągali rękę wychudłą, i tworzyło to obrazy tak bolesne, że opisać je trudno. Aby zrozumieć tę nędzę nieopisaną, trzeba było widzieć ją naocznie w jej gnieździe: w pustych, wilgotnych lochach piwnic i suterren, gdzie biedacy szukali schronienia, nazywając te półciemne, ponure piwnice pomieszkaniem swoim.

Publiczna i prywatna dobroczynność, zbyt późno może zbudzona z uspienia, tem energiczniej zajęła się potem niesieniem pomocy i ratunku potrzebującym go bliżnim. Zajęto się niezwłocznie urządzeniem tymczasowych schronisk w gmachach i pałacach rządowych, prasa gorąco wzywała do składek, które, przyznać trzeba, posypały się hojnie, rząd otworzył kredyt milionowy dla chorych, głodnych dla nędzarzy bez dachu.

Jeden z najpierwszych przytułków otwarto na Placu Marsowym w Pałacu Sztuk Pięknych, dobrze mi znanym z ostatniej wystawy powszechnej miejscu. Zwiedziłem go zaraz pierwszego wieczoru i wrażenie, jakie stąd wyniosłem było tak wstrząsającym i silnym, iż nie zapomnę go nigdy.

Było około godziny dziewiętej, gdy stanąłem przed furtką tak dobrze mi znaną z czasów wystawy. — Ilekroć to razy w roku 1889, przestąpiwszy te progi, czułem się wśród tego przybytku bogactw i przepychu, wobec którego bajeczne Sezam Ali-Baby wyglądałoby z pewnością skromnie i ubogo, jak gdyby pijanym i odurzonym. Przed oczyma mej wyobraźni przesunęły się też jeszcze barwne i miękkie aksamity, jedwabie, koronki, strojne panie, uśmiechnięte twarze, przedmioty zbytku, arcydzieła przemysłu, zmieniające szeregi olbrzymich salonów w jakąś zaczarowaną krainę, pełną blasku, woni, gry światła i cienia; lecz jakaż różnica, co za przeciwieństwo, gdy spojrziałem teraz około siebie!

A idąc tam, nie byłem samotnym; śpieszyły wespół ze mną drżące, pochylone, lachmanami okryte postacie, chwiejąc się często i z trudnością posuwając dalej. I szedłem tak razem z nimi przez puste, obszerne sale, gdzie jasna, wesoła barwa niebiesko malowanych żelaznych filarów dziwnie obijała od ścian nagich i okien szyb pozbawionych. Wiatr mroźny, który tu szalał niegościnnie, przejmował nas dreszczem, a sam

widok wysokiej, olbrzymiej sali maszyn przejmował mrozem i drżeczą kazał.

Mijamy ogród, niegdyś wspaniały przybytek piękności i sztuki ogrodniczej, teraz pusty, jednostajnie, grubym na stopę kołniercem śniegu przykryty. Jedyna gazowa latarnia świeci, jak duch zabłąkany, wśród tej białej śniegu przestrzeni, i oto podnosi się przed oczyma potwór olbrzymi wieża Eifel!

Nigdy jeszcze ten zuchwały kolos nie wydał mi się tak wstrętnym, bezcelowym, urągającym ludzkości. — Ilekroć milionów pochłonięto wzniesienie tego pomnika próżności, stojącego dzisiaj jak skielec martwy i bezużyteczny! — A ileż dobroczynnych ognisk możnaby teraz rozpaść za te pieniądze! ile ust głodnych nakarmić chlebem powszednim, ile łez gorzkich osuszyć, ile nędzy wspomódz, ile występkom zaradzić!

Lecz olbrzym szydzi z bezsilnego gniewu i wznosi się ku niebu dumny, niewzruszony, jęcząc jak eolska harfa, na której wiatr północny wyje, szaleje, rzuca przekleństwa i głosy boleści, złorzeczenia groźb ponurych.

Ponad wejściem do schroniska oko znajduje jeszcze z czasów wystawy pozostały napis:

„Exposition du travail.“

Co za ironia, że los tę salę właśnie przeznaczył na przytułek dla pozbawionych dachu i chleba nędzarzy pracy...

Magiczne słówko: „Jestem dziennikarzem“ otwiera przedemną wrota tego smutnego przybytku, strzeżone przez straż wojskową. Wchodzę więc i zaraz niedaleko wejścia stoję, aby oświecić wzrok z czerwonym migotem ognia błyskających co kilka kroków na małych, przenośnych ogniówkach. Niedokładnie rozprasa to ciemności, a snujące się półciemne postacie wyglądają fantastycznie i nasuwają na myśl mimowolnie jakieś legendowe bajki o duszach błądzących po przedpieklu.

Wśród nie, dającej się objąć okiem przestrzeni wielkiej sali płomyki te nie więcej znaczą niż światelko lampki, cicho płonące przed świętym obrazem. Nędza zziębnięta skupia się koło nich, inni cisną się do sąsiedniej sali, gdzie rozdają ciepłe pożywienie. Ci, którzy ztamtąd powrócili, powiększej części w milczeniu zasiadają wokoło światła i ze spuszczonej głowami wydają się zasluchanymi w skargi własnej duszy, zapatrzonymi w niewidzialne, wewnątrz siebie noszone obrazy. Inni skargą się głośno, żałując; spragnieni litości i współczucia, nie mniej niż oni nieszczęśliwych sąsiadów. Na moje pytania odpowiadają krótko i niechętnie, wzrok ich przykuwa się magicznie do żywych obrazów sąsiedniej sali... Dla tych zziębniętych nędzarzy widok talerza ciepłej zupy to obraz z dziejów życia zajmujący silniej, niż dla nas najciekawsze osnovy najmodniejszych romansów i powieści.

Pod ścianą jeden przy drugim poukładane sieniaki zajęte już są po części; jedni spożywają, siedząc na nich, ową to gorącą, pożywną zupę; inni spoczywają otuleni ciepłymi wełnianymi kołdrami. Jeden starannie podwinął ją pod zziębnięte nogi i wsunął się aż po brodę pod dobroczynne okrycie, co dawało mu podobieństwo do mumii egipskiej; wszyscy przecież wzięci razem sprawiają wrażenie jakiegoś olbrzymiego lazaretu i w chustkach na głowie, z obowiązanymi czołami, wyglądają jak ranni po krwawym spotkaniu. Wojskowe mundury straży dopełniają złudzenia. Tam pod oknem leży biedak, jakiś ze zwichniętą, na temblak wziętą ręką. Jakże wdzięcznym wymownym wzrokiem patrzy na pochyloną nad nim niemłodą już kobietę — widocznie znajomą, która troskliwie poprawia poduszkę i wypytuje chorego nieboraka o zdrowie....

Najbardziej jednak wstrząsającym dla mnie był okropny chórалny kaszel, który przenosił się bezustannie z jednego końca olbrzymiej sali w drugi i powracał znowu, jak gamma tonów skarżących się, jak jęk bijący w niebo z tysiąca szarpanych piersi, jak złorzeczenie okrutnym, bezlitosnym żywiołom, urągającym ludzkiej nędzy i niemocy.

Według statystycznych obliczeń liczba szukających przytułku dnia tego w sali sztuk pięknych wynosiła do 800 osób, pośród których znajdowało

się tu zaledwie 4, 5 kobiet. W następstwie liczba mężczyzn wzrastała codziennie, kobiet liczono zawsze bardzo mało. Na 1.500 mężczyzn było ich zaledwie 50—80.

Ta zadziwiająca na pierwszy rzut oka nieproporcjonalność stosunku, daje się, moim zdaniem, wytłómaczyć jedynie większą przezornością i rezygnacją kobiet w walce z ciężkimi warunkami życia. Za komentarz może także służyć liczba szukających schronienia w miejskich dobroczynnych przytułkach, gdzie ogólna liczba mężczyzn wynosiła 25.000 na 41.000 kobiet.

Na półtrzecia miliona mieszkańców Paryża—bądź co bądź stolicy świata,—półtora miliona przypada na stan robotników i rzemieślników włączając w to, naturalnie, ich żony i dzieci, czyli obejmując tą liczbą nietylko pracujące jednostki, ale zarazem ich rodziny. Liczba ta jest wymownym komentarzem obrazów wyżej przedstawionych. Jakkolwiek rozwinięty jest przemysł francuski, a wyroby paryżkie rozpowszechnione na rynkach całej Europy, nie zatrudnia on przecież dostatecznie ręką tyłu i nie jest w stanie zaspokoić potrzeb półtora miliona ludzi, zgromadzonych na jednym miejscu. Ta głódna, szukająca pracy i chleba nadwyżka robotników, powstaje przez bezustanny napływ zagranicznych a głównie prowincjonalnych, rzemieślników, których pociągają do Paryża korzystne warunki przyjętej tam normalnie płacy. Prassa francuska oskarża o tworzenie tego proletariatu pracy włoskich, niemieckich i belgijskich przybyszów, ale zastanowiwszy się uważniej nad tą kwestią, widzi się bezzasadność podobnego oskarżenia.

Po pierwsze, przemysł paryżki wobec wygórowanych wymagań francuskiego robotnika, nie wytrzymałby nigdy konkurencji z zagranicznymi wyrobami, gdyby ci właśnie, bardziej umiarkowani przybysze, samą obecnością swoją nie zmuszali do ustępstw miejscowych rzemieślników. Drugim, niemniej ważnym punktem obrony bezustannego napływu obcego żywności, jest niezaprzeczony pewnik, że siły czysto miejscowe nie podołałyby nigdy żądaniom, jakim przemysł francuski corocznie odpowiadać musi.

Stolica Francji cieszy się nietylko w kraju ale i zagranicą powszechnie sławą ziemskiego raju robotników, sławą uzasadnioną poczęści, lecz nie dla każdej z czterech kategorii, na jakie ludność robotniczą Paryża podzielić możemy. Zręczny jubiler zarabia od 5 do 30 franków dziennie, płaca zecera przewyższa normalne jego potrzeby; toż samo powiedzieć można o malarzach, dacharzach i t. p., którzy nie zawsze nawet w tak zwanym „ogórkowym czasie“, powracają do miejsc rodzinnych, gdyż zarabiają oni przeciętnie od 5—12 fr. dziennie i mogą coś odkładać na oszczędność. Trzecia kategoria obejmuje ludzi nie mających stałego zawodu, których zarobki wynoszą około 3.50 fr. Poza tymi jednak na nieszczęście stoją jeszcze całe zastępy, niezarabiające nawet trzech franków dziennie, i tu, wobec drogości życia w Paryżu, zaczyna się nędza. Do tej kategorii należą po większej części pracujące kobiety i szwaczki, których dochód dzienny wynosi od 1.25 fr.—90 cent. Ta płaca nie wystarcza na utrzymanie życia istoty ludzkiej i w tem leży źródło wielu nieszczęść francuskiej kobiety.

Nie wchodząc tutaj w liczne i bezwzględnie bardzo interesujące szczegóły, z liczb wymienionych powyżej wnosić można, że znaczna część robotników, a zwłaszcza żonatych, przy wspólnej pracy obojga małżonków, nietylko byt codzienny dostatecznie ma zabezpieczony, lecz znajduje się w położeniu o wiele szczęśliwszym od drobnej klasy urzędniczej, i może zawsze odłożyć grosz jakiś na tak zwaną czarną godzinę.

Może... Jednak zbadawszy tę sprawę, widzimy, że tak nie jest—przynajmniej jest tylko wyjątkowo. Tłómaczy nam to poczęści drożyzna produktów spożywczych w Paryżu, więc kosztowne utrzymanie rodziny, z drugiej zaś strony rozwinięte potrzeby i wymagania paryżkiego robotnika. Obok tego wysoka stosunkowo płaca powoduje drugostronnie przez napływ do Paryża robotników, podniesienie ceny artykułów spożywczych, zatem, przestaje być dla robotnika rzeczywistą korzyścią, a rozwijające się na tle paryż-

kiego życia nawyknienia pochłaniają owoce wytrwałej jego i dobrze wynagradzanej pracy.

Robotnik paryżki musi mieć co niedziela pieczeń na stole, pije codziennie kawę i wino, trzeba dodać tanie, bo jest to produkt krajowy i zastępuje wódkę krajów innych, ale lubi on przytem ubrać się porządnie, nie żałuje sobie często gęsto na fiakra, bywa w teatrze i, o ile może, dba o jakieś takie przyzwoicie i szczerze mieszkanie. Prawda, że o większej części bywa ono tak ubogiem, niezdrowem i pozbawionem wszelkich estetycznych i higienicznych warunków, iż pod tym względem już o zbytek oskarżać go trudno.

Przed niedawnym dopiero czasem zawiązało się towarzystwo, mające na celu budowę tanich mieszkań dla ubogiej klasy ludności. Za wzór posłużyło tu podobne stowarzyszenie londyńskie oraz zawiązane w kilku miastach francuskich, jakoto: w Lionie, Lille, Rouen i t. p. Doktor Rochard, który specjalnie na żądanie wymienionego powyżej Towarzystwa badał mieszkania robotników, najsmutniejsze o nich wydaje świadectwo, nazywając je norami, gdzie promień słońca nigdy nie dochodzi, gdzie czystość jest rzeczą nieznaną, a nawet niemożliwą, — norami wilgotnymi, zimnymi, odrażającymi. A przecież cena takich to mieszkań jest od 300 do 500 franków rocznie, co zresztą w mieście tak drogiem jak Paryż, nie wydaje się bynajmniej rzeczą nadzwyczajną.

Przyznać trzeba jednak, że pomimo to wszystko mieszkania paryżkiego robotnika nie są jeszcze tak okropne, tak zabójcze jak wśród ubogich dzielnic Londynu, przecież tak tu, jak tam w jednakoży sposób nastąpiło nienormalne skupienie się niezamożnej ludności na przestrzeni nie dość rozległej. Tu i tam przeznaczono też ze względów sanitarnych na zburzenie całe dzielnice miasta, nieodpowiadające wymaganiom i warunkom zdrowotności; lecz tu i tam pozbawiwszy tym sposobem kilka tysięcy rodzin lichego schronienia, nie pomyślano dla nich o jakimkolwiek innym i zmuszono ich przez to samo cisnąć się w podziemiach i zakątkach, zapelniać miejsca nieprzeznaczone bynajmniej na pomieszkania ludzkie i niewznoszone w tym celu.

W Berlinie od lat już wielu istnieje całe szeregi domów budowanych wyłącznie na użytek klas pracujących, w Paryżu zbywa zupełnie na tanich pomieszkaniach. Z pomiędzy 48.815 rodzin, które podczas tegorocznej zimy znalazły przytułek w miejskich zakładach dobroczynnych; według statystycznych obliczeń 32.120 płaciło rocznie komornego mniej niż 200 fr., co w mieście takim jak Paryż jest świadectwem straszliwej nędzy.

Zanim—jak powiedzieliśmy wyżej—miasto zajęło się losem nieszczęśliwych, pozbawionych dachu, szukali oni ratunku w lombardach i u lichwiarzy. Tu ukazuje się nowy obraz strasznego wyzysku i rozpaczliwej walki człowieka o byt. Pokazywano mi niedawno kwit lombardowy na przedmiot wartujący 800 fr., na który pożyczającym dano zaledwie 145 fr. Lombard miłosierny: Mont de piété, obracający kapitałem 50—60 milionów franków, nie może wystarczyć licznym żądaniom, tak, że biedacy pozbawieni nadziei otrzymania z tamąd spodziewanej zapomogi, pozostawiali łóżka i bieliznę, i otrzymane kwity sprzedawali następnie lichwiarzom. Ta ostatnia operacja stosowana jest tak powszechnie, że istnieje klasa specjalistów, którzy nabywają kwity na zastawione fanty i wykupują je za bezcen w ciągu kilku godzin. Ma to stanowić bardzo zyskowny proceder. Opowiadano mi też o staruszcze, która zastawiwszy jakąś rodzinną pamiątkę, przez lat 10 troskliwie opłacała procent, nie mogąc zebrać się nigdy na wykupienie swego skarbu. Podobno w końcu litościwy lichwiarz zwrócił jej go bez pretensji, osądzwszy, że bardzo mało zyskałaby na tej sprzedaży.

Zobaczmy teraz, jaką pomoc niesie miasto swoim ubogim. Kapitał rządowego towarzystwa dobroczynności wynosi 14.000.000 fr. Zdawałoby się, że z tą sumą, która już w roku 1883 oddaną została pod zarządek gminy paryżkiej, można w krótkim bardzo czasie zaradzić szerzącej się nędzy. Na nieszczęście jednak stronnictwo, przy-

wata i protekcyja większą część przeznaczonych dla ubóstwa pieniędzy kierują na inne drogi. Dla przykładu przytoczymy tylko, że z 12 tysięcy łózek, jakie miasto (oprócz szpitali) utrzymuje dla chorych swoich w schronieniach dobroczynnych, czwarta część stale jest zajęta przez osoby, którym posiadane środki pozwalają przecież leczyć się własnym kosztem, a które mimo to korzystają bezwstydnie z grosza dobroczynności publicznej. Przed paru laty utrzymanie każdego łóżka kosztowało 1100 fr., dziś cena podniosła się do 2.900 fr. Nie więc dziwnego, że przy takim zarządzie i gospodarstwie potrzebujący cierpią nędzę — nie dziwnego, że w kasie rok rocznie okazuje się deficyt, pokrywany często z loteryi lub innych państwowych dochodów.

Oprócz rządowego towarzystwa dobroczynności istnieje w Paryżu wiele innych tego rodzaju fundacyj i zakładów. Tak zwane „kassy szkolne“ posiadają fundusz na pensje i zapomogi dla nie-zamożnych uczniów; „żłobek“, przedstawia opiekę nad ubogimi dziećmi wyrobników; „Towarzystwo stałej pomocy“ w ściślejszym ograniczonym zakresie rozwija swoją działalność pod nadzorem magistratu. Istnieją też liczne stowarzyszenia prywatne, kassy, fundusze z charakterem religijnym lub ogólnie dobroczynnym. Samych katolickich jest w Paryżu 740, nie licząc protestanckich, żydowskich i innych przy konsulatach obcych mocarstw. Nie brakuje też tanich kuchni, gdzie danie kosztuje 2 sous; schronisk nocnych i przytułków, często bardzo w domach prywatnych.

Jakimże więc sposobem, wobec tak potężnej i rozgałęzionej pomocy, nędza paryżka istnieje i ogarnia tysiące? Przyczyną jest tu przede wszystkim brak jednoci i zgodnego działania, rozpraszanie, marnowanie funduszy, często prosta nieuczciwość i wzajemne pokrywanie swoich błędów. Nieumiejętność szafowania groszem niemającą też odgrywa rolę w tem że w szeregach smutnego gospodarstwa, a dobrze znani w Paryżu „zebracy z profesji“ zresztą potrafią korzystać i z tego.

Tak zwana „nędza oficjalna“ należy bezwzględnie w tem mieście do najszkodliwszych raków społeczeństwa, gdyż pochłania soki żywotne narodu i jak olbrzymi pasożyt rozrasta się na jego ciele. Żadne statystyczne dane nie wykazują nam dzisiaj, jakie summy pochłania rocznie ten potwór, podczas gdy nędza prawdziwa nie ma czem zaspokoić głodu. Pomiędzy Levallois i Saint Ouen istnieje całe miasto nędzy pracujących. Dzienna płaca robotnika tu zamieszkałego nie przewyższa 1—1.50 fr. a mieszkanie tygodniowo kosztuje od 2.50—3 fr. Mieszkanie to jest prosto ciemną, wilgotną norą, w której stoi jedynie łóżko. Gdy lokator nie uiszcza komornego, gospodarz wystawia drzwi i okna, a przeciąg i zimno zmuszają nieszczęśliwego do szukania sobie nowego schronienia.

A przecież z przytułków dobroczynnych korzystają tu „oficjalni żebracy“, którzy w innych dzielnicach miasta mają domy własne i mogliby żyć wygodnie z posiadanego kapitału.

Bezprzykładny rozrost żebractwa w Paryżu wynika z czysto miejscowych przyczyn: jedną z pierwszych jest tu dobroczynność, polegająca na zbyt żywej wrażliwości, dobrem sercu i przyzwyczajeniu, lecz bezmyślna zarazem i nierozsądna. Można powtarzać setki razy pocziwcom, wspierającym żebraków pod kościołem: „Podpieracie występki i rozpustę, a krzywdzicie prawdziwe ubóstwo“. Można to powtarzać niemal każdemu z Paryżan, a nikt nie usłucha i zrozumieć nie chce. Nie ma też praw odpowiednich, wzbraniających ulicznego żebractwa, nie ma ściślejszej kontroli i opieki nad rzeczywistą nędzą, kontroli, która by zmuszała do pracy leniwych darmożjadów. Taki przymus byłby wstrętnym dla każdego Francuza, nie zgadza on się z charakterem ani usposobieniem narodu — wrażliwego przede wszystkim.

Nie ujęte też w karby odpowiednie żebractwo rozrasta się zatrważająco; sam Paryż liczy od 5.000—6.000 rocznie tych szkodliwych pasożytów, lecz w istniejącym stanie rzeczy niema najmniejszej nadziei radykalnego zapobieżenia złemu.

Jeden z banków paryżkich dowiódł przed kilku

miesiącami po ścisłym obliczeniu posiadania kapitału, wynoszącego 14 miliardów fr.! Wspaniały rozwój przemysłu i handlu, bogactwo wystaw sklepowych olśniewa oko cudzoziemca, lecz ze zdumieniem spostrzega on obok tego zbytku blade, wynędzniałe postacie, straszne kalectwa wystawione na widok publiczny, jak w anatomicznym gabinecie, i łachmany, które protestują przeciw temu, że Francja jest krajem bogatym.

Zatrudnienie próżniących—praca przymusowa leniwych, lub zlej woli ludzi byłaby tu jedynym lekarstwem, lecz z jednej strony prawa jednostki dowolnego rozrządzania osobą swoją, z drugiej nieprzezwyciężalnej natury ludzkiej, stawiają temu przeszkody nieprzebyte.

Ogół żebraków paryżskich podzielić można z łatwością na kilka odrębnych kategorii, z których dwie zwłaszcza wyróżniają się przede wszystkim: osiadłych i wędrujących. Żebracy osiedli — te arystokracja tego cechu. Mają oni swoją tradycję, miejsce i stosunki. Miejsce dowolnie sprzedają lub wynajmują po cenie mniej więcej od 20—30 fr. Żebrak wędrujący, który wskutek braku doświadczenia, stosunków, lub ulegając wrodzonej skłonności, wstąpił do cechu tej drugiej kategorii, ma także być zabezpieczony, czy to wędrując po podwórzach, czy grając na jakimkolwiek instrumencie. W każdym razie zarabia tyle, że po 8—10 godzinach zatrudnienia na dobę, może przepędzić wieczór w *Café chantant* albo innym przyjemniejszym dla niego miejscu. Są w Paryżu żebracy, którzy płacą po 1.000 fr. rocznie za mieszkanie i trzymają służącą: jest jeden ślepy, który żebrze tylko w zimie, a z wiosną wyjeżdża na letnie mieszkanie, — są biura informacyjne, gdzie za opłatą 5—50 fr. można otrzymać adres dobroczyńcy, przeznaczającego dziennie pewną sumę dla zręcznego filuta, który ją dobyć potrafi. Trudno wyliczyć i opisać wszystkie sposoby i sztuczki wyłudzenia pieniędzy od łatwowiernych ludzi, a, co gorsza, nie zawsze ogranicza się to na niewinnym podstępnie albo filutery, często żebractwo bywa tylko drogą wiodącą do innego występku.

Paryż przerażony był jękiem i nędzą, jaką tegoroczna zima wyprowadziła na widownię, a przecież nie był to jeszcze obraz zupełnie dokładny. Nikt dziś obliczyć nie zdoła, ile ust głodnych umilkło na wieki bez skargi, do której zbrakło im siły — nikt nie widział wszystkich obrazów posępnych kryjącego się ubóstwa. Roztoczyliśmy tu obrazy te nie bez celu przecież. Tylko zbadana i gruntownie rozpoznana choroba skutecznie leczoną być może. Paryż przez długie lata żył złudzeniem, napawał się blaskiem swych bogactw, nie widząc kryjącego się w cieniu cierpienia i nędzy; przebudzenie nastąpiło wreszcie w czasie zimy tegorocznej. Niedostateczność i wadliwość dotychczasowych urządzeń, ujawniona tak nagle, pobudzić musi energiczne, myślące umysły do poważnej działalności, do gruntownej reformy pod tym względem, która na przyszłość zabezpieczy to wielkie miasto od toczącego je wewnątrz raka.

Z bieżącej chwili.

— W lecie bieżącego roku urządzona zostanie w Moskwie wystawa zwierząt, stanowiących przedmiot myślistwa, oraz przyborów myśliw-

skich. Będzie się tu mieścić także oddział rybołówstwa.

— Dzienniki petersburskie donoszą o wysłaniu przez Towarzystwo Techniczne majstrów i instruktorów do małych miasteczek, z celem obznajmiania drobnych fabrykantów z ulepszoną sposobami zawodowej pracy.

— Specjalna kommisja utworzona będzie w Petersburgu przy ministerium finansów z celem opracowania przepisów karnych, wymierzonych przeciwko fałszerzom etykiet fabrycznych.

— Odczyt D-ra Dobrzyckiego „o leczeniu suchot“ był ostatnim w cyklu tegorocznych odczytów, poświęconych ważnej kwestii zdrowia i zapoznania publiczności, jak je należy pielęgnować, — jak niedopuszczać choroby. D-r Dobrzycki wykazał, że świeże powietrze jest najważniejszym środkiem obrony przeciw suchotom; nie chodzi tu tyle o wyższy stopień jego ciepła, jak świeżość, jedność i zakłady lecznicze górskie, jak na przykład, Gerbersdorf, Davos, dają najlepsze rezultaty w leczeniu suchot. Prelegent wzywał też do powtórnego otworzenia sanatorium suchotniczego w Minii pod Warszawą, które w ciągu swego kilkuletniego istnienia okazało bardzo poważne rezultaty. Nietylko okolice górskie nadają się na ten użytek. Okolice lesista, czystym, balsamicznym powietrzem już tu wystarczy, obok Mieni możnaby zakłady takie wnosić z dobrym skutkiem, w Kieleckim na przykład.

— Dwaj przedsiębiorcy urządzają na nadchodzące lato biuro wycieczek po kraju i zagranicę z myśli, że wycieczki zbiorowe liczniejszego grona osób wypaść muszą taniej, niż wtedy, gdy je odbywa osoba lub rodzina pojedyncza. Wycieczki te mają być urządzone w Czerwcu, pierwsza z projektowanych, tygodniowa, do Dąbrowy, Granicy, Ojcowa i Gór Świętokrzyskich; druga dziesięciodniowa do Gdańska, Oliwy Malborka i Torunia trzecia do Pragi Czeskiej. Można sobie wyobrazić podobnie między znajomymi wycieczki takie z równymi korzyściami.

— Na wezwanie komisji przebudowy Teatru Wielkiego, rozesłane do siedemnastu naszych malarzy w kwestii malowania plafonu, przedstawili szkice swoje: Alchimowicz, Gerson, Antoni i Jan Strzałecy, Wiesiołowski, oraz amator p. Michał Trębicki. Komisja nie przyjęła żadnego z nadesłanych szkiców i polecono Ant. Strzałeckiemu malowanie sufitu według projektu jednego z architektów miejscowych, z uwzględnieniem ornamentyki dekoracyjnej.

— Henryk Sienkiewicz powraca do kraju, lecz do Warszawy przybędzie dopiero w Czerwcu. Wśród wycieczek czynionych z Bagamoyo w głąb kraju dostał ciężkiej febry i musiał przeleżyć dni kilka u misjonarzy w Bagamoyo, a następnie leczyć się w Zanzibarze. Wyjechał z tamtąd d. 3 Kwietnia na francuskim statku *Pei Ho*. Dąży przez Wiedeń do Zakopanego, zdrów już zupełnie.

— Wystawa etnograficzna w gmachu Muzeum Przemysłu, składająca się z okazów przywiezionych przez podróżników Janikowskiego i Nestorowicza, trwająca blisko pięć miesięcy, została zamknięta z końcem ubiegłego miesiąca.

— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych ogłasza, iż według regulaminu corocznych wystaw odbędzie się w roku 1892 konkurs malarzski.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności uznało potrzebę konieczną gruntownej restauracji gmachów, które posiada, to jest: gmachu głównego na Krakowskim-Przedmieściu i podo-

mikańskiego przy ulicy Freta. Że przecież koszt wymagalne są tu znaczne, a Towarzystwo nie posiada potrzebnego kapitału w gotówce, zaciągnęło zatem pożyczkę skarbową, bez procentową, w summie 40.000 rs., które będą wypłacone towarzystwu w dwóch ratach. Obecnie otrzyma Towarzystwo pierwszą summy tej połowę, druga wypłaconą mu będzie w roku przyszłym. Spłata długu rozłożona jest na raty półroczne po 1.000 rs., poczynając od 1893 r.

Zmarły w roku zeszłym ś. p. Henryk Czekierski poczynił zapisy miłosierne w summie 5,300 rs., i tak: na szpitala dziecienny 100 rs., dla instytutu jałmużniczej, wspierającej wstydzących się żebrac, 200 rs.; dla War. Tow. Dobroczynności 3,000 rs., od których procent ma być obrócony dwa razy w ciągu roku na wsparcia dwóch osób, urodzonych w Warszawie, religii rzymsko-katolickiej, z rodziny kupców lub obywateli warszawskich, tak aby rocznie otrzymywało wsparcie osób cztery; dla Warszaw. Towarzystwa Lekarskiego 2,000 rs., do rozdania corocznego procentu dwóm wdowom czy sierotom po lekarzach, lub aptekarzach warszawskich, albo podupadłym lekarzom i aptekarzom, co zostawił testator do uznania Towarzystwa Lekarskiego.

— Czasopismo paryżkie „Nouvelle Revue“ umieściło zajmujący, jak piszą z Paryża, szkic A. Wodzińskiego „Adam Mickiewicz et Maryla“.

— Malarze francuzcy nie chcąc brać udziału w między narodowej wystawie berlińskiej wysyłają obrazy swoje na międzynarodową wystawę obrazów w Sztutgardzie i przesłali już tam dzieła swoje malarze: Lefèvre, Bougereau, Carolus Duran, Duez, Gerôme, Dagnan-Bouveret, Deschamps, Gervex, Aublet, Roll, Berand Boulet de Montvel, Cazin, Dubois, Montmard.

— Obrazy malarzy czeskich, które wystawione będą na wystawie w Pradze, zostaną następnie przysłane do Warszawy, gdzie ukażą się na wystawie, specjalnie na cel ten urządzonej. Czesi osiedli w Warszawie starają się o to.

— Modrzejowska występująca w Pradze w *Narodnim Divadle*, którego wzniesienie, jak wiemy uważali Czechi za wielki swój tryumf, doznawała wciąż entuzjastycznego przyjęcia i dała nad program trzy przedstawiania, zapelniające od góry do dołu cały obszerny i piękny gmach *Divadla*. Występowała ona w „Maryi Stuart“, w „Adryannie“, „Damie Kameliowej“, „Wiele hałasu o nic“ Maryą Stuart grała dwukrotnie a zawsze przyjmowana z uniesieniem przez publiczność, tak nią zachwyconą, że kassa teatralna od 5-tej godziny rano była obłożoną. Urządzano na jej część bankiety; pierwszy urządziła: „Czeska inteligencja“, drugi „literaci“ trzeci „Aktorzy czescy“ Poeta Vrchlicki, talent szlachetny i wysoki, znany u nas z pięknych przekładów Konopnickiej, pisując recenzje teatralne w przychylonym nam bardzo dzienniku: *Has naroda* uznawał że gra Modrzejowskiej jest szlachetniejszą i głębszą od Sary Bernhardt. Równie pochwałą odbierała w piśmie *Politik* i *Narodnich Listach*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Serce człowieka, przez Henryka Morley'a (przekład z angielskiego), przez M. I. — Fryderyk Szopen, jako człowiek i artysta (dokończenie). — Zareczyny Chorążanki (Nowella historyczna), przez Józefa H. Rychtera (dokończenie). — Niewyzyskana gałąź pracy, przez M. Ilnicką. — Nędza w Paryżu podczas zimy 1891 r. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści, pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego. — Przegląd mód. — 17 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

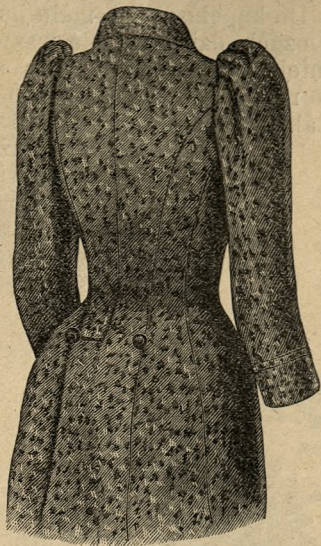
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 24 Апрель 1891 года.

Przegląd mód.

„Paniers“ i obcisłe żakietki jak to pogodzić, a pogodzić można. — Magazyn gotowych sukien pani Anny, róg Marszałkowskiej i Próżnej. — Kolory. — Pióra pani Hałaczkiej. — Ozdoby do kapeluszy. — Kwiaty i kwiaty.

Doprawdy nie wiemy, jak to pogodzić, żurnale paryżkie kolorowe przedstawiają same suknie z sutemi koszyczkami, tak zowią u nas francuskiej „panier“ z obcisłą a długą żakietką, jeżeli zwolenniczki koszyczków zwyciężą, to przestaniemy nosić owe śliczne tak powszechnie lubione żakietki! Nie przerażajcie się panie — rzecz ta tylko powierzchownie się tak wydaje, odkryję wam prawdę tej mody — „Paniers“ zdobią tylko suknie do salonu wizytowe i wieczorowe, a żakietki noszą się do sukien codziennych na ulicę — oto jest wytłumaczenie tej mody. W ogóle i przeważnie suknie obcisłe, małe treny w samym tylnym brycie, falbany w dole u sukien z lekkiej tkaniny



Nr 1. Część tylna płaszcza podróżnego (do ryc. Nr 5).



Nr 3. Mantylka z aksamitu (do ryc. Nr 2). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 40—44).



Nr 2. Część tylna mantylki (do ryc. Nr 3).

lub z koronek. Suknie z gładkich materyałów mają po większej części rękawy z innego materyału, ale w tym cieniu co suknia, z aksamitu, sukna lub jedwabiu u lepszych z wstawek pasmante-ryjnych, paniers bywa zwykle z tego co rękawy materyału. W magazynie pani Anny przygotowano ogromny wybór gotowych sukien na wiosenny sezon, co przede-wszystkiem jest wielką dogodnością dla przyjezdnych osób, którym pobyt w hotelu za wiele czasu i pieniędzy zabiera, aby go można przedłużyć dla zrobienia sukni, — pokazywano nam „matinée“ z kretonu z koronkami zrecznie od-

robione od rs. 10 a suknie wełniane już od rs. 20. Niezmiernie nam się podobała szara koloru „beige“ fasonem angielskim z zupełnie gładkim przednim brytem, bo do tego fasonu inny być nie może i dwiema kieszeniami, tak jak w męzkich ubraniach umieszczono-



Nr 4. Płaszcz podróżny. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 54—57).



Nr 6. Chusteczka wykonana z plecianki. (Opis odwr. str. tabl.).



Nr 5. Płaszcz podróżny (do ryc. Nr 1 str. tabl. Nr I, fig. I—6).

nemi, do tego żakiet z kamizelką i krawat kryty. Inna znów z lekkiej wełny koloru „héliotrope“ cała przybrana szlakami przerabianymi jedwabiem, ale co to pomoże opisywanie, kto potrzebuje, pójdzie i do swojej dobierze figury a mianowicie do swego gustu. Żurnale przysyłają nam całe palety kolorów modnych — piaskowy w różnych odcieniach: Céres, migdał i klon — piaskowo-żółtawy „miedepain“, piaskowo-srebrzysty, piaskowo-niebieskawy,

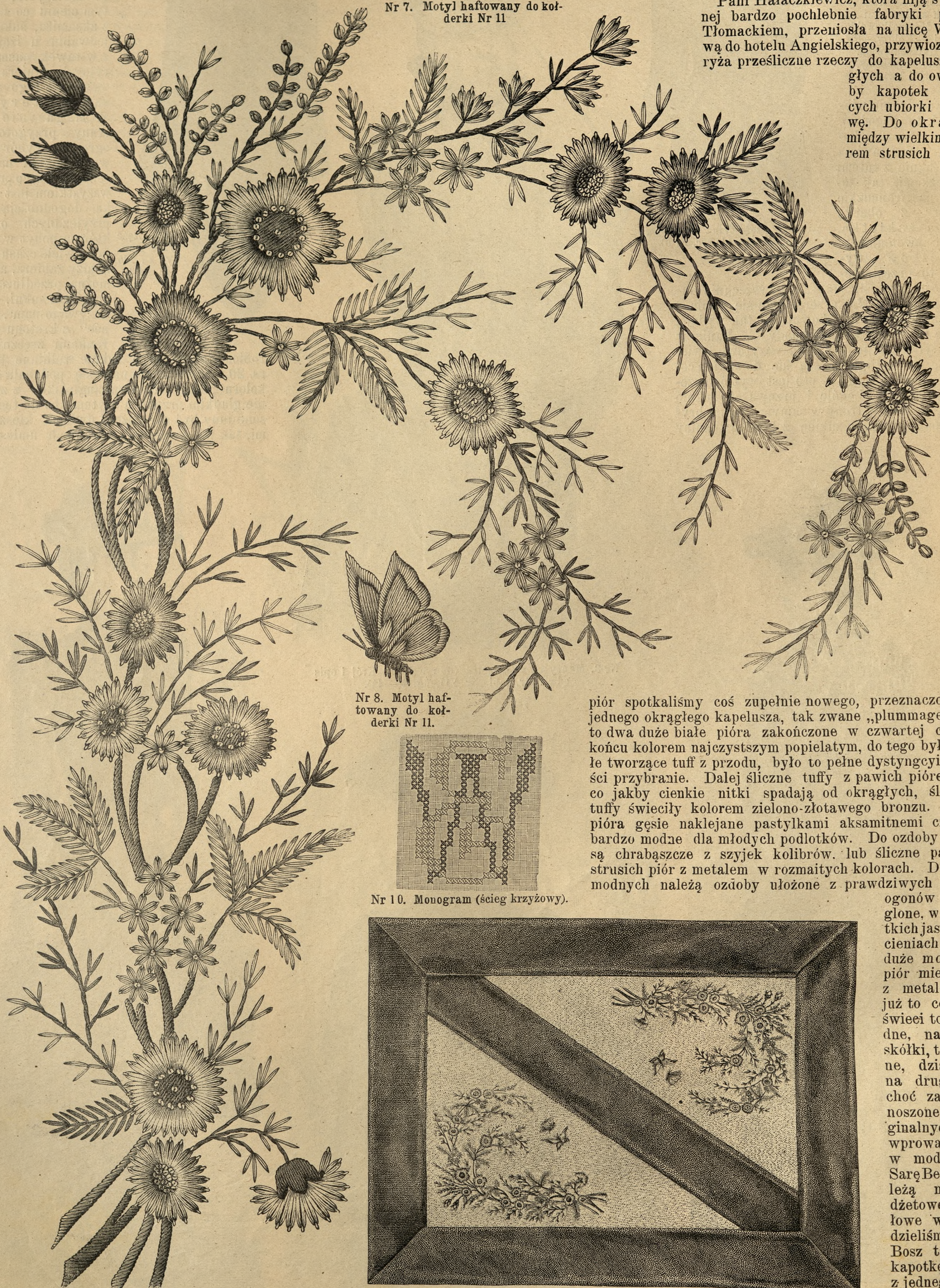


Nr 7. Motyl haftowany do kołderki Nr 11

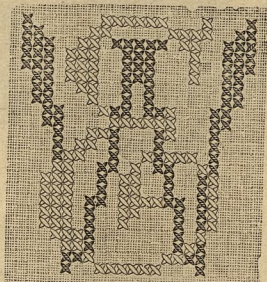
„minéral“, z czerwonych cieni „framboise“ i „caroubier“ żółtawo-ponsowy, z brunatnych „castor i „carmélite“ i wszystkie odcienia fioletkowe.

Do kapeluszy za mało już było kwiatów i świecących ozdób, dziś mieszają wszystko kwiaty i pióra razem, dawniej noszono albo pióra albo kwiaty, dziś kładą co tylko robi efekt, a pomimo to połączenie jest tak subtelne, tak fantazyjne, że wszystko się łączy w jedną całość, byle nie przeciążoną i jest ładne.

Pani Hałacziewicz, która filją swej znanej bardzo pochwlebie fabryki piór na Tłomackiem, przeniósł na ulicę Wierzbową do hotelu Angielskiego, przywiozła z Paryża prześliczne rzeczy do kapeluszy okrągłych a do owych ni- by kapotek tworzących ubiorki na głowę. Do okrągłych między wielkim wyborem strusich długich



Nr 8. Motyl haftowany do kołderki Nr 11.



Nr 10. Monogram (ścieg krzyżowy).

piór spotkaliśmy coś zupełnie nowego, przeznaczonego do jednego okrągłego kapelusza, tak zwane „plumage.“ Były to dwa duże białe pióra zakończone w czwartej części na końcu kolorem najczystszym popielatym, do tego były 2 małe tworzące tuff z przodu, było to pełne dystyngcy i nowości przybranie. Dalej śliczne tuffy z pawich piórek, tych co jakby cienkie nitki spadają od okrągłych, śliczne te tuffy świeciły kolorem zielono-żółtawego brązu. Zwykle pióra gęsie naklejane pastylkami aksamitnymi czarnymi, bardzo modne dla młodych podlotków. Do ozdoby kapotek są chlubniejsze z szyjek kolibrów, lub śliczne papony ze strusich piór z metalem w rozmaitych kolorach. Do bardzo modnych należą ozdoby ułożone z prawdziwych rajskich

ogonów zaokrąglone, we wszystkich jasnych odcieniach, cudne duże motyle z piór mieszanych z metalem, bo już to co się nie świeci to nie modne, nawet jaskółki, tak lubiane, dziś zeszły na drugi plan, choć zawsze są noszone. Do oryginalnych ozdób wprowadzonych w modę przez Sarę Bernard należą metalowe, dzetowe lub perłowe węże, widzieliśmy u pani Bosz taką całą kapotkę złożoną z jednego dzetowego węża i tłu-

Nr 9. Gałązka haftowana do kołderki Nr 11.

Nr 11. Kołderka na łóżeczko lub wózek dziecienny. Ścieg płaski, rybiej łuszczy, łańcuszkowy i supelkowy (do ryc. Nr 7—9).

lu. Zapomnieliśmy jeszcze dodać, że specjalnością fabryki pani Hałaczkiwicz jest farbowanie piór do danej próbki, dawniej takie rzeczy można było mieć tylko w Paryżu, dziś i u nas w Warszawie w tej jednej fabryce. Co do kwiatów, które wraz z piórami zdobią dziś kapelusze, czy to z aksamitu, z linowu, lub jedwabiu, najmodniejsze są lewkonie, georginie, bzy, powoje, róże i słoneczniki. Układają je pojedynczo lub w pęki, przy czem egretka z piór wiele im wdzięku dodaje. Bzy i lewkonie to specjalność fabryki pani Hoffman, która zawsze u siebie w domu, Nowy-Swiat 41 w oficynie, wyrabia prawdziwe naturalne kwiaty. Pani Siwińska, która przy swej znanej a taniej fabryce kwiatów, Krakowskie-Przedmieście 62, ma magazyn mód, to jest także tanich kapeluszy przywiozła z Paryża wiele ładnych kapeluszków tak fantazyjnych, jak i z kwiatów, które nie tylko warszawiankom, ale i magazynom z prowincyi na modele po umiarkowanej cenie sprzedaje. Ponieważ mowa o taniości kwiatów, więc nie możemy przemilczeć bardzo dobrej, taniej i zasługującej pracą swą na względy publiczności fabrykę kwiatów panny Jadwigi Kozłowskiej, Krakowskie-Przedmieście Nr 63. L. C.

Kołderka na kolebkę lub wózek dziecinny.

Rycina Nr 11, 7—9. Ścieg płaski, rybiej łuszczyki, łańcuszkowy i supełkowy.

Kołderka 96 cent. dług. a 75 cent. szer. Środek wykonany na biał koloru białego, przecięta ukosem 12 cent. szer. pluszu niebieskiego i takimże szlakami z pluszu otoczona. Trójkąty podłużne białe zdobne haftem, wykonanym różnokolorową rozpolowaną filozelą. Ryc. Nr 9, przedstawia gałązkę, ryc. Nr 7 i 8 motylki oryginalnej wielkości. Płatki kwiatków wielkich wykonać jedwabiem różowym i brązowym, środkową część wypełnić ściegiem płaskim i supełkowym, kolorem oliwkowym i brązowym. Małe kwiatki i pączki jedwabiem jasno-niebieskim i różowym. Liście, wąsy i gałązki ściegiem rybiej łuszczyki, płaskim i gałązkowym jedwabiem brązowym i oliwkowym. Mantylka Nr 7 kolorem terracota i brązowym w kilku cieniach, oraz oliwkowym. Skrzydła zaś mniejszego jedwabiem różowym, niebieskim i popielatym, nóżki i różki jedwabiem oliwkowym. Zaopatrzyć kołderkę podszewką z kaszmiru koloru jasno-niebieskiego.

Suknia z paltociem z materiału prążkowanego.

Rycina Nr 12 do ryc. Nr 34 i 25 w Bl. Nr 20.

Suknia z materiału wełnianego prążkowanego koloru „bège“ i tegoż koloru bengaliny, z paltociem bez rękawów. Spódnica z podszewki wykonana zwykłym sposobem 220 cent. obwodu, otoczona w dol-

nym brzegu falbanką plisowaną z materiału, pokryta odpowiedniej długości i szerokości spódnica z materiału układaną w fałdy z tyłu. Stanik przybrany fałdowaną bengaliną. Kaftanik bez rękawów podszyty materiałem jedwabnym. Wązka pasmanteryja zdobi plecy, przednie części stanika i rękawy.

Kapa na łóżko.

Rycina Nr 14—16. Ścieg płaski, krzyżowy i robota szydełkowa.

Kapa 200 cent. długości i 165 cent. szer., złożona z 3 szlaków haftowanych na tkaninie kongres koloru żółtawego i z dwóch szlaków wykonanych szydełkiem krętą tegoż koloru bawełną. Otoczenie z koronki wykonanej szydełkiem podług ryc. Nr 15. Szlak na tkaninie kongres szer. 38 cent., zakończony z obydwóch brzegów obrąbkami 3 cent. szer. Powyżej obróbka, oraz 7½ c. oddalenia wykonać mereszka, na co należy wyciągnąć 1 nitkę tkaniny, pozostawić 2, wyciągnąć 8, pozostawić 2 i jeszcze jedną nitkę wyciągnąć. Nitki wyciągnięte pojedynczo przesunąć naprót przez materiał sposobem widocznym na ryc. w wąskim ażurku, przejmując 2 nitki tkaniny a wzdłuż środka szerokiego ażurku, przejmując przez 4 nitki tkaniny. Dalej wykonać figury ściegiem płaskim grubą żółtawego koloru bawełną a małe krzyżyki bawełną błyszczącą koloru

niebieskiego. Co do szlaku wykonanego szydełkiem rozpocząć na założeniu 83 oczek tam i napowrót jak następuje: (ścieg tworzy się z dwóch rzędów)—1 kolej: 3 oczka opuścić, 1 słupek w następne o., 3 pow. ocz., 1 ściśle ocz. w 3 z rzędu o., 3 pow., 1 słup. w 3 z rzędu o., poczem jeszcze 3 ściegi wzorku tła 30 sł. (ciągle 1 sł. w każde o., czego dalej powtarzać nie będziemy; 4 ściegi tła, potem 1 słup. i tak dalej odpowiednio do ryc. Nr 15. Koronkę wykonać na założeniu 50 ocz. i stosownie do ryc. Nr 15 wykonać odpowiednią długość do otoczenia kapy.

Suknia spacerowa z wigoni.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 20.

Suknia wykonana z wigoni w dwóch cieniach koloru naturalnego tegoż materiału. Spódnica nieco powłóczysta. Paltocik do figury stylem Louis XIV. Pasmanteryja z jedwabnego sznurka w ciemniejszym odcieniu.

Sukienka dla panienki od 3—4 lat.

Rycina Nr 5, 30 i 37 w Bl. Nr 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 58 i 59).

Sukienka z białego batystu przybrana haftem. Skrajać fig. 58 jedną część złożoną wzdłuż środka, podług fig. 59 dwie części. Pierwszą zmarszczyć po kilkakrotnie pomiędzy liniami w górze na 12 c. szer., w dolnym brzegu aż do linii na 5 c., w tylnej górnej części na 6 c. Połączyć przednie części z plecami od 51 do 52 i od 53 do 54, pierwsze podług ryc. ozdobić szlaczkiem haftowanym 2½ cen. szer., podług ryc. Nr 30 oryginalnej szerokości. Przyszyć pokryć ściegiem rybiej łuszczyki. Takież szlaczek otacza wycięcie szyi i zastępuje rękawki. Wycięcie szyi otoczone szlaczkiem haftowanym 2½ e. szer. oraz koroneczką, szlaczek zaś podszyty i przewleczony tasiemeczką do ściągania. W tylnej części wykonać dziurki i przyszyć guziki do zapinania. Dolny brzeg stanika otoczyć wypustką i tasiemką do ściągania, oraz przyszyć spódniczkę 30 c. długą a 140 c. szer. zmarszczoną w górze a w dolnym brzegu wykończoną haftem 9 c. szer. wykonanym podług ryc. Nr 37.

Przepisy gospodarskie.

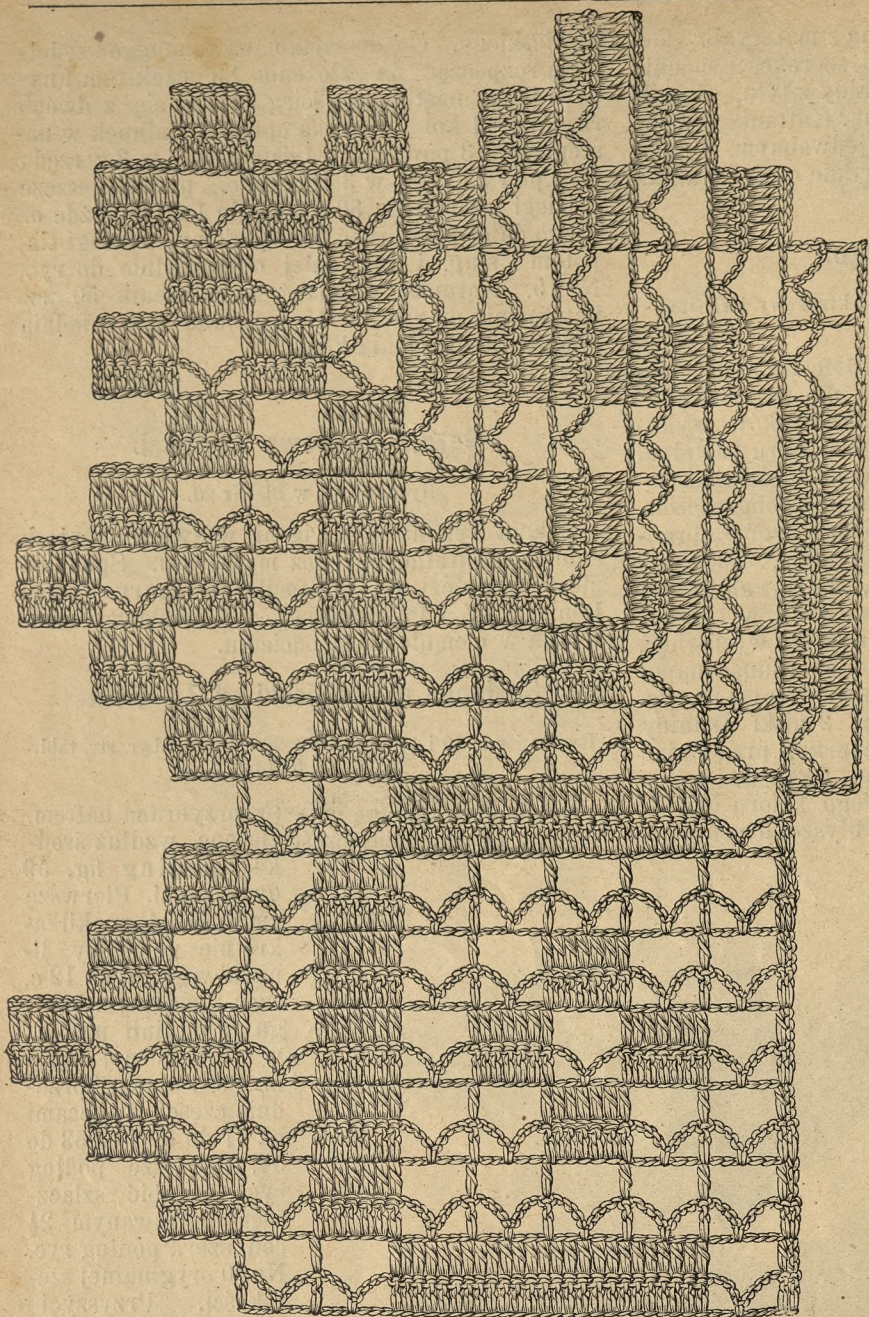
Szczupak duszony z jarzynami.

Uszatковать drobno dużo włoszczyzny na 3 funtowego szczupaka dwie garście i dwie cebule, włożyć w rondel kawał młodego masła, wsypać włoszczyznę, ziarno angielskiego, 3 ziarnka pieprzu, kawałek kwiatu muskatołowego, nalać parę łyżek wody i dusić dobre pół godziny pod pokrywą



Nr 12. Suknia z paltotem z materiału prążkowanego (do ryc. Nr 25 i 34 w Bl. Nr 20).

Nr 13. Suknia z kaszmiru ozdobiona haftem (do ryc. Nr 26 w Bl. Nr 20).



Nr 15. Koronka wykonana szydełkiem do kapy Nr 14 (wielkość oryginalna).

często mieszając, żeby się włoszczyzna nie przypaliła. Wtedy ułożyć dzwonka osobno jedno przy drugim i dolać tyle tylko wody, aby ryba nie była sucha, gotować pod przykryciem, co kilka minut dolewając pół łyżki zimnej wody, aby się ryba nie rozleciała. Gdy ryba ugotowana utrzyć na miseczce kawałek masła młodego z łyżką maki, rozebrać sosem od ryby, który poprzednio należy starannie przez rzadkie sito przetrzeć a rybę obrać z włoszczyzny; ułożyć ją napowrót w rondel, połać sosem, zagotować i wydać na podłużny półmisek, układając pasującymi do siebie kawałkami, niby całą rybę. Smak będzie wyborny a pozór estetyczniejszy, niżeli z ową rozgotowaną włoszczyzną.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Zupa cieleca z pasztecikami w naleśnikach.
2. Ozór solony z chrzanem.
3. Szparagi.
4. Schab z sałatą.
5. Śmietana bita z marenkami.



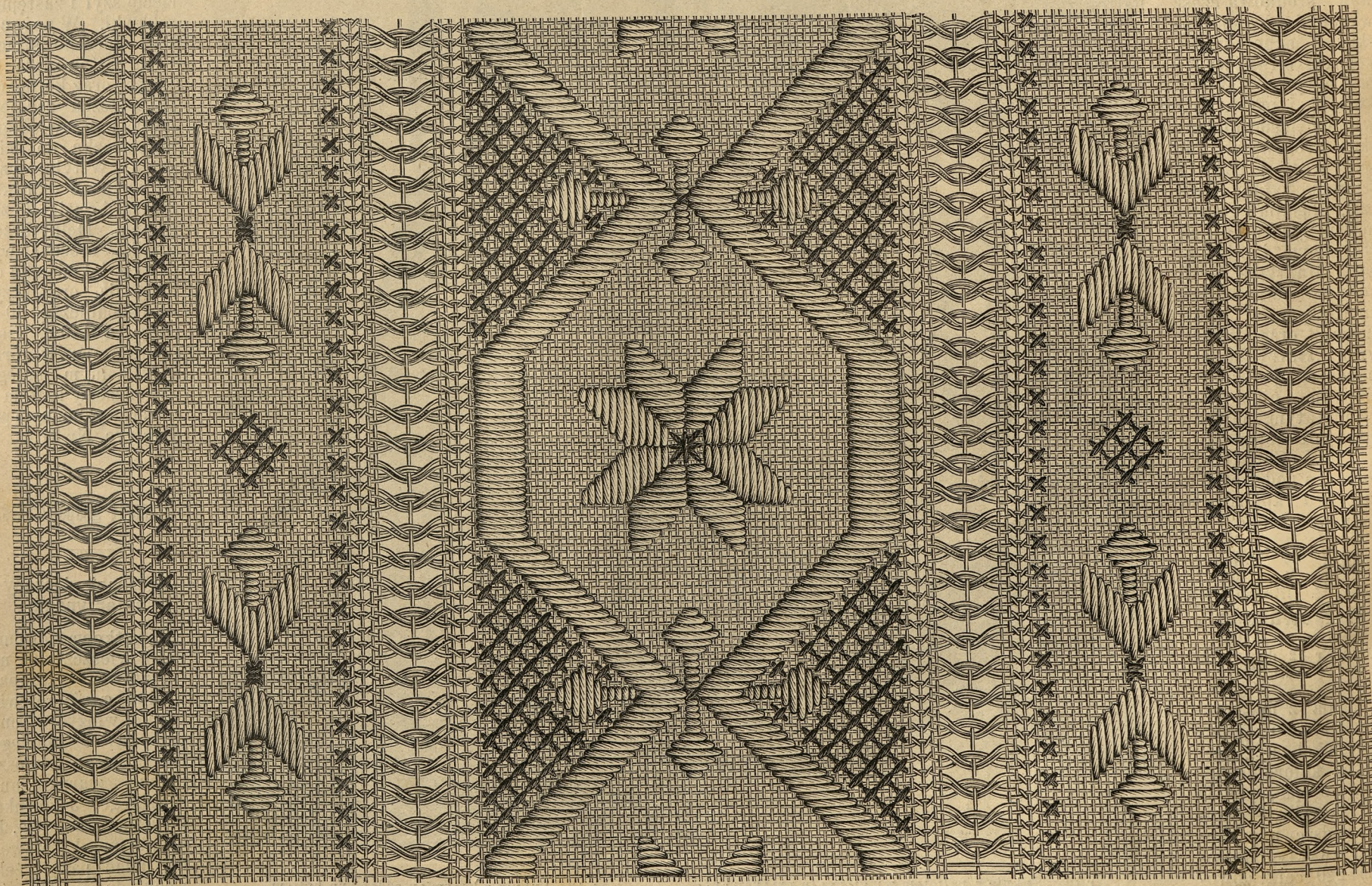
Nr 14. Kapa na łóżko. Ścieg płaski, krzyżowy i szydełkowy (do ryc. Nr 15 i 16).

DOŚWIADCZENIA GOSPODARSKIE.

Nigdy nie należy w Czerwcu trzepać futer, bo pomimo najstaranniejszego utrzymania domu, zawsze w Czerwcu latają w powietrzu mole. Trzepać je w Maju i Lipcu.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze *Bluszczu* podać się mających.



Nr 16. Szlak haftowany do kapy Nr 14 (3/4 oryginalnej szerokości).